POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień ***Dnia 23-go – 30-go grudnia 1944r.*** **Rok VI. Nr. 51-52**



rysował JERZY FACZYŃSKI

I znowu jedna wilia poza domem rodzinnym, poza krajem rodzinnym. Smutna wilia. Ani kraju, ani rodziny. Po cudzych ziemiach porozrzucani, od swoich oddzieleni, czekamy ciągle na wilię w domach naszych. A tu idzie rok za rokiem, a my ciągle na wygnaniu. Tylko krwi leje się coraz więcej i coraz więcej łez.

Zamiast zbliżania się chwili wyzwolenia, na naszym polskim niebie gromadzą się coraz cięższe chmury i coraz trudniej poprzez nie ujrzeć wolną Polskę.

Tysiące pokus czycha na naszego żołnierza, aby mu wytrącić karabin z ręki, aby osłabić jego wolę walki.

—"Po co się bijecie za Anglię? Cóż ona Wam dała i dać może?" — woła niemiecka propaganda.

Nie trafi ona do żołnierza, bo on wie, że nie bijemy się za Anglię, ani Anglia nie bije się za Polskę, lecz my wraz z Anglią bijemy się o wolność, o wolność nie tylko "naszą", lecz i "waszą", o wolność ludów.

To znowu jakiś szatan staje przy żołnierzu i szepcze: — "Daremny Twój wysiłek, żołnierzu polski, należysz do "małego narodu", a światem uchwaliły rządzić narody wielkie, nie szukaj prawa, ale łaski możnych".

A inny głos szydzi: — "Jesteście niepoprawnymi marzycielami, a świat należy do tych, co mają dużo dywizji i dużo bogactw. Bądźcie realistami a zyskacie pochwałę możnych".

Sieć kłamstw i zwodniczych obietnic oplata biedny, nieszczęsny, walczący naród. Nie zwiodą nas jednak chwalby ludzkie, ani nie zatrwożą groźby. Poświęciliśmy domy nasze, poświęciliśmy rodziny, poświęcimy siebie, bo wierzymy nie ludziom, wierzymy w zwycięstwo prawa i sprawiedliwości. Ta wiara nas zbawi.

Poprzez chmury zaciemniające nasze losy, poprzez syk jadowitej propagandy wystrzela ku nam promień gwiazdy betlejemskiej. Ten, który przyszedł na świat w noc wigilijną, przyniósł światu "drogę, prawdę i żywot". Tą drogą pójdziemy, aby szukać prawdy i żywota sprawiedliwego.

Śladem ojców naszych.

Dziewięć wieków temu polskie rycerstwo idąc na Niemców, szło już ze śpiewem: "Bogu Rodzica, Dziewica . . ."

A kiedy pod Grunwaldem hufce kmiece ruszyły na Krzyżaków, to "aby kroku nie zmylić" zaczęły odmawiać Pozdrowienie Anielskie w takt marszu: "Zdro-waś-Ma-ry-jo . . ."

Któż to w czasie potopu szwedzkiego ocalił naród polski, jeśli nie wiara księdza Kordeckiego w opiekę Panny Częstochowskiej.

Ryngrafy z Matką Boską błyszczały na piersiach Konfederatów Barskich, a po klęskach powstań krzepiły wygnańców polskich słowa Mickiewicza, że nas Panna Jasnogórska i Ostrobramska "powróci kiedyś na Ojczyzny łono . . ."

I w dziedzictwie po naszym rycerstwie, wojsko Polski niepodległej przyjęło pieśń poranną, śpiewaną po koszarach: "Kiedy ranne wstają zorze . . . " i pieśń wieczorną: "Wszystkie nasze dzienne sprawy . . ."

A kiedy przyszły znowu chwile wygnania, żołnierze nasi w Polskim kościele w Londynie ofiarowali Matce Częstochowskiej najpiękniejsze wota, jakie żołnierz złożyć może — swoje odznaczenia bojowe, które rzędami otoczyły jej obraz.

Płynie ta wiara poprzez wszystkie wieki walk naszego rycerstwa aż po dzień dzisiejszy i jest jak płomień, od którego zapala się jedno pokolenie po drugim, aby nam świeciła jak pochodnia, wskazująca drogę prawdy i sprawiedliwości.

Nie możemy zejść z tej drogi. Nie jesteśmy na niej sami. Miliony wierzących w to, co i my, są naszymi sojusznikami. Jeśli z tej drogi zejdziemy, stracimy ich i zostaniemy sami. Jeśli zapomnimy o wiecznej prawdzie, w imię czego będziemy wołać o prawdę i sprawiedliwość, które nie ludzkiego, ale boskiego są pochodzenia i nie z łaski ludzkiej nam się należą, ale z prawa boskiego?

Żołnierz polski jest rycerzem chrześcijaństwa i świat w nas widzi bojowników prawa i sprawiedliwości, a im więcej będzie tych, co w nas wierzą, tym silniejsza będzie nasza sprawa, choć coraz cięższa może będzie nasza walka.

Idźmy dalej po tej drodze, a w chwili zwątpienia spójrzmy na gwiazdę betlejemską, która "nam świeci zbawieniem".

Giną ludzie, umierają pokolenia, ale naród jest wieczny. A naród, to ojcowie nasi i dzieci nasze. Ojcom naszym wiary dochować, synom w testamencie, czasem krwią pisanym ją zostawić — to nasza służba narodowa.

Wiele win ciąży na nas i wiele popełnionych błędów, ale może je odkupi ta cierniowa droga pokoleń, może w ogniu tych niepojętych cierpień, chyba już ponad miarę win naszych, wypali się to, co złego jest w nas i wtedy podniesiemy Ojczyznę naszą tak wysoko, że świat przestanie wreszcie mówić o "nieszczęśliwym narodzie" i powie o nas: "To wielki naród".

STANISŁAW SZURLEJ

"POLSKA WALCZĄCA" ŁĄCZY SIĘ W SERDECZNEJ WSPÓLNOCIE UCZUĆ I ŻYCZEŃ Z CZYTELNIKAMI SWOIMI, WSPÓŁPRACOWNIKAMI I PRZYJACIÓŁMI NA FRONCIE ZACHODNIM I POŁUDNIOWYM, NA LOTNISKACH BOJOWYCH I SZKOLNYCH, NA POKŁADACH OKRĘTÓW WOJENNYCH I STATKÓW HANDLOWYCH, W SZPITALACH WOJSKOWYCH, W OBOZACH ZACIĄGU OCHOTNICZEGO I SZKOLENIA; BRATNIĄ PAMIĘCIĄ OBEJMUJE TYCH WSZYSTKICH, DO KTÓRYCH JEJ SŁOWO BEZPOŚREDNIO NIE DOCIERA LUB DOCIERA Z OPÓŹNIENIEM: ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ, OFICERÓW DOWODZĄCYCH W DALEKIEJ BURMIE, JEŃCÓW W STALAGACH I OFLAGACH, WIĘŹNIÓW W OBOZACH KONCENTRACYJNYCH, INTERNOWANYCH W SZWAJCARII I INNYCH KRAJACH EUROPY, UCHODŹCÓW POLSKICH W AFRYCE, AUSTRALII, INDIACH, MEKSYKU, NOWEJ ZELANDII I GDZIEKOLWIEK ZAGNAŁ ICH ZŁY LOS ORAZ CAŁĄ, TAK BLISKĄ SERCU KAŻDEGO ŻOŁNIERZA, POLONIĘ ZAGRANICZNĄ PO OBU STRONACH OCEANU

— NIECH NAM WSZYSTKIM "ZAŚWIECI GWIAZDA ZBAWIENIA", NIECH NAM "OGŁOSI CUD CUDÓW" —

Warszawska Gwiazdka

Wpadły mi w ręce "Wiersze o Warszawie", wydane w Londynie w roku bodajże 1942. Wśród strof, od dawna znanych, a wzruszających przypomnieniem tych lat, kiedy się je po raz pierwszy czytało, znalazłem kilkanaście nowych, powstałych już na emigracji. Może w związku ze bliżającymi się Świętami Bożego Narodzenia, dla mnie pierwszymi poza Krajem — przykuła zwłaszcza moją uwagę "Kolęda Warszawska" Stanisława Balińskiego.

Trudno jest w pierwszej chwili zdać sobie sprawę z tego, co w niej uderza. Zapewne, sam temat. Kogóż z nas nie boli obecnie samo tragiczne i wielkie słowo: "Warszawa"? Któż, bez najgłębszego wzruszenia, jeśli już nie ze łzami w oczach, potrafi w sobie wywołać obraz stolicy, miasta, które było, które jeszcze w nas jest, a którego nie ma już w rzeczywistości.

Nie tylko jednak sam temat. Gdy się wczuć w wiersz Balińskiego — zaczyna się rozumieć tajemnicę owej urzekającej tęsknoty za Krajem, która kształtuje postawę duchową emigracji. Wiersz ten, w gruncie rzeczy, daleki jest od rzeczywistych nastrojów warszawskich podczas okupacji niemieckiej, a jednak jakże głęboko wzruszający i prawdziwy — nie prawdą o Warszawie, lecz prawdą o emigracji. I mimowoli człowieka, przybyłego niedawno z Polski i mającego jeszcze w oczach jej świeży obraz — niepokoić poczyna zbieżność uczuciowa z tymi pięknymi strofami.

Niechaj się rodzi Syn najmilejszy
Wśród słodszych gwiazd,
Ale nie u nas, nie
w najsmutniejszym
Ze wszystkich miast.

Nie, takiej kolędy nie śpiewano w Warszawie. Warszawa nie była wcale najsmutniejszym z miast. Potrafiła z ognia i gruzów wynieść swój nieśmiertelny humor. Po najcięższych przeżyciach, pod potwornym obuchem codziennego terroru Gestapo — nie zapominała o Świętach i miała ambicję, aby przynajmniej jeśli chodzi o nastroje, święcić je tak, jak dawniej.

Uprzytomniłem to sobie nieoczekiwanie w rozmowie z jednym z Kolegów z Kraju, przybyłym przed kilku tygodniami po odyssei przygód do Londynu. Staliśmy właśnie w Rubensie i nad lampkami *sherry* smętnie wspominali naszą "czystą". I ot tak, ni z tego ni z owego, pomyśleliśmy obaj jednocześnie o zbliżających się Świętach.

—"Fajny był bimber w Warszawie" — stęknął szeptem Kolega. — "I co za Święta! Na pewno lepsze, niż tu będą w Londynie".

Rzeczywiście. Jak na warunki wojenne, Gwiazdka Warszawska była zawsze okazała. Kościoły — pełne. Ludzie, przybici i zaaferowani tysiącem trosk na co dzień, jeszcze nim butelczyna na stół wjechała, zrazu nieco nieśmiało, a po tym coraz otwarciej przypominali sobie, że jednak śmiać się umieją. Nie zapominało się i o choince, którą, jeśli się już zabawki do reszty wytłukły, przybierano przynajmniej watą, z powodzeniem naśladującą śnieżną okiść. Nie zapominało się i o zwyczajowych podarunkach. Jakiś tam drobiazg, a jednak znaleźć się musiał. Nie brakło i rozrzewnienia.

Po pierwszej gwieździe, gdy już czas było zasiadać do stołu, do wieczerzy wigilijnej, a zabrakło, na zawsze zabrakło tylu bliskich, których się jeszcze niedawno widziało, nie jedno gardło się ścisnęło i niejedną łzę ukradkiem otarło. Myśl mimowiednie biegła do rodaków, po świecie rozsianych. Do tych najbiedniejszych, w obozach koncentracyjnych, i więzieniach może na kilka godzin przed kaźnią. Do tych, na robotach i poniewierce w Rzeszy. Do tych, zgubionych w bezkresach Rosji azjatyckiej. I do tych, najszczęśliwszych z rozbitków, którym Bóg czy los pozwolił stalą krwawiącą — imię Polski pisać na mapach całego świata.

Lecz nastroje te nie trwały zbyt długo, zwłaszcza w rodzinach proletariackich. Ktoś tak z boku mruknął: — "Raz żyjemy". Ktoś inny sarknął: — "Dość tego cmentarza". Ktoś trzeci dodał: — "Niech się koń martwi, bo ma łeb duży". Nastrój się zwolna odprężał, śmiechy błyskały, a po chwili grały już temperamenty.

Przyznam się, że mnie, zagrzebanego po uszy w raportach z całej Polski, ociekających krwią setek codziennie mordowanych i katowanych, ta wisielcza wesołość nierzadko drażniła. Wyglądało mi to trochę na jakąś osobliwą stypę, podczas której lekkomyślność graniczyła z nieczułością. Potem skłonny byłem widzieć w tym wszystkim instynkt samozachowawczy, nakazujący zapomnienie, choćby na chwilę, o strasznej rzeczywistości.

Aż wreszcie zrozumiałem. Warszawa, ta Warszawa z czasów okupacji niemieckiej, zwłaszcza ta Warszawa szarego człowieka — zachowała po prostu swój bajeczny, naprawdę zwycięski i nie poddający się nikomu i nigdy humor. Co więcej, zrozumiałem, że dzięki niemu właśnie, w chwilach, gdy rozsądek kazał wątpić — nie wątpiła i walczyła z niezłomną wiarą.

To ten sam pijaczyna, który w święta ryczał wesołe piosenki — w Powstaniu Warszawskim rwał się z gołymi rękami na czołgi niemieckie. To temu samemu chłopakowi, czy tej młodej dziewczynie, śmiejącej się z całej duszy — przyszło mieć ducha "za nas i za was". Cóż po mazgajach w wojsku? A przecież Stolica była miastem żołnierskim, miastem bojowników Polski Podziemnej i przyszłych bohaterów Powstania. Jej iście rogata dusza znajdowała swój wyraz zarówno w walce, jak i w humorze ulicy, jak i w wierze w zwycięstwo dobrej sprawy.

Tę wiarę chciałbym Ci podarować, Czytelniku, na Gwiazdkę. Bo nie najstraszniejsze są nędza i cierpienia, nie najstraszniejsze nawet ofiary i zniszczenia. Potwornie straszna jest dopiero ta chwila, gdy przed człowiekiem, czy narodem stanie najtrudniejsze pytanie: — "Po co"? Straszna jest ta czarna chwila zwątpienia, gdy najgorszy z szatanów wbrew twej woli mignie Ci z nienacka przed oczyma słowem: "bezcelowe". Nie, nie bezcelowe. Trzeba wierzyć, że nie zmarnujemy najtragiczniejszego dorobku. Trzeba wierzyć, że my na emigracji, sami tragiczni sprzedawcy przelanej krwi, zdobędziemy dla niej odpowiednią cenę, której na imię: Niepodległość. I choć w Święta nie potrafię się chyba teraz modlić innymi słowami, niż słowami przejmującego wiersza Balińskiego — zakończę je przecież jednym akcentem: wierzę!

ANDRZEJ POMIAN

OPŁATEK

On znaczył: "Pokój ludziom dobrej woli",
był znakiem wiary i chleba,
z czystych ziarn wstawał, ku święconej roli
gołębiem zlatywał z nieba.

Powiadał "bracie" i niósł przebaczenie
i miłość, która leczy.
W jego okruchach znajdował sumienie
duch grzesznik, duch człowieczy.

Nie wiem, jak ty go dzisiaj ujmiesz w rękę,
bracie tułaczu zbłąkany:
czy, ukrywając przed ludźmi udrękę,
obrócisz się do ściany?

Czy prosto spojrzysz w migotliwe oczy
żołnierskiej swej drużynie,
nie zatrzymując łzy, co się potoczy
i po policzku ci spłynie? —

Ja wiem, o Boże, że to krew i ciało —
krwią uszły szczęt bezkrwawy —
tego, co życie za Polskę oddało:
storturowanej Warszawy.

Więc jeśli dziś Ci ukojnej modlitwy
pod stopy nie położę,
nie wiń i nie sądź . . .
Daj nam łaskę bitwy
i łaskę zwycięstwa, Boże!

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Wigilia w Generalnym Gubernatorstwie

"*Weihnachten*" — w Generalnym Gubernatorstwie po czterech latach rządów Franka na Wawelu. Nie najweselsze już dla Niemców święta — dni klęski w Afryce, zima pod Stalingradem. Zima łagodna, a jednak nie zwalniająca Niemców od troski o ciepłe rzeczy dla armii na froncie wschodnim, stąd jako świąteczny dodatek: zbiórki, kwesty i wymuszenia.

Sklepy niemieckie, pełne dodatkowych racji — pomarańcze /jeszcze włoskie/ wino, bakalie, cukier.

W miastach naszych, w których tak trudno żyć Polakom, wyrosły na placach niemieckie drzewka wigilijne, obwieszone pstrokacizną kolorowych lampek elektrycznych. Olbrzymie takie drzewko stanęło na placu Szczepańskim w Krakowie, świecąc niemieckim zgrupowanym tam biurom, niemieckiej piekarni, mleczarni, wódkom za szybami Bisanca. Druga choinka zasłania bruk wyrwany na miejscu, gdzie stał pomnik Mickiewicza na rynku.

Przez głośniki płynie sentymentalna, śliczna kolęda — "*Stille Nacht, Heilige Nacht*".

W tym niemieckim rozgwarze świątecznym przypominamy sobie i my: "przecież to świąteczny tydzień!"

Minął bez zauważenia tak dawniej wesoły w Krakowie "Mikołaj". Piasecki i Wedel są "*nur für Deutsche*", zapomniało się już zresztą o smaku słodyczy.

Ale te właśnie najmilsze, domowe święta? Gwiazdka? Dzieci patrzą tak samo roziskrzonymi oczyma na drzewka rozstawione na rynku, jak przed wojną. I nie można im robić zawodu. A poza tym w okresie świąt rodzą się zawsze na niczym właściwie nieoparte nadzieje. Każda Wilia jest już na pewno ostatnia. Ileż razy słyszałam zdanie: — "W przyszłym roku będziemy się dzielili opłatkiem z generałem Sikorskim . . ."

Z drugiej jednak strony bardzo trudno przebyć te święta bez łamiących dusze wzruszeń, bez smutków, których staraliśmy się unikać w Kraju, wprost z instynktu samozachowawczego.

Jakże zasiąść do stołu, przy którym brak tylu najbliższych? Wśród nieobecnych często najszczęśliwsi ci, co umarli. Jakimi myślami otoczyć przy opłatku tych, którym w obozie koncentracyjnym dadzą tego dnia lepszą zupę i zaprowadzą ich pod drzewko — pod którym wieńcem złożą trupy towarzyszy? Jak się modlić skutecznie za tych, którzy za murami "Pawiaka" liczą na to, że może w dzień Wilii nie będzie rozstrzałów?

Puste też krzesła tych bardziej uprzywilejowanych spośród nieobecnych — jeńców w *Oflagach* i *Stalagach*, którzy piszą do żon: "Przyślij chleba, to nic, że zapleśnieje, przyda mi się".

Nie ma na naszej polskiej Wilii — robotników rozrzuconych po Rzeszy, chłopców czternasto-letnich nieraz, jak Ty, Jurku, któryś pisał do matki: "Nie martw się, tylko w pierwszą Wilię było mi ciężko, dziś przywykłem".

Tyle granic, dalekich krajów, dzieliło nas od tych naszych bliskich, którzy są wybrańcami losu, mając szczęście jawnej pracy i walki dla Kraju. Tyle niepokoju przez lata nieraz długie bez wiadomości! Dzieci małe już zapomniały, nie zawsze zdają sobie sprawę ze swego sieroctwa, jak Ty, mały Jacku, gdyś ocierał łzy matce: — "Nie płacz Mamusiu, Tatuś umarł, ale po wojnie do nas wróci".

Pełna jest Wilia polska cieniów, ciężka od tęsknoty, wśród kobiet zalanych łzami przy opłatku, i dzieci, czekających z napięciem na drzewko i rozradowanych widokiem najskromniejszych nawet upominków.

W bardzo wielu domach, tam zwłaszcza, gdzie nie ma dzieci, nie obchodzi się Wilii w ogóle. Niemcy dają zresztą tylko jeden dzień świąt, łatwiej więc udać przed samym sobą, że dzień jest zwyczajny. Przy normalnym w Kraju przepracowaniu i stałym zmęczeniu — namiastkowa kawa i dobra książka do łóżka, to czasem najzdrowszy sposób spędzenia Wilii.

Ludzie ogólnie starają się spędzać święta w gromadzie, z przyjaciółmi, umożliwia to weselszy nastrój, a także jakie takie zorganizowanie wieczerzy wigilijnej.

Trzeba niemałej zapobiegliwości, żeby odłożyć trochę cukru, mąki, tłuszczu. Nie ma zupełnie ryb /nawet Niemcy stają w długich ogonkach przed halami rybnymi/, śledzi, nie ma maku, grzybów.

Mimo to — ktoś ze wsi przyśle karpia, w biurze wymieni się cukier na mak. Zawsze zjawi się rzadki na naszych stołach obrus i jednak wigilijna kolacja.

Nie ma świec na choinkę, ale świecą się oczy dziecięce. Nie można sobie pozwolić na drzewko, ale pachnie sosną gałąź wstawiona do wazonu. Skasowano nocną pasterkę z powodu godziny policyjnej, inaczej brzmią kolędy na rannej mszy. Te nabożeństwa świąteczne są dla nas koncertami i manifestacjami patriotycznymi.

"*Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą*" — brzmi dziś zupełnie nowym dźwiękiem, wzrusza do łez.

Chodzą chłopcy z szopką od domu do domu — Herod ma wąsiki Hitlera, gruby Churchill klęczy wśród Trzech Króli.

Pamiętam grudniowy wieczór na wsi, gdzie kolędowano półgłosem, by nie zwrócić uwagi Niemców — dom chłopski, gdzie wieczerza wigilijna odbywała się przy stuku powielacza, odbijającego tajne pisemko.

Odeszli chłopcy od powielacza do leśnego wojska — rozproszyły się ludzkie gromadki moich czterech krajowych Wigilii.

Wiem, jak ciężko będzie tam myśleć: "to szósta Wilia wojenna". Nie umiem już uzmysłowić sobie, z jakim sercem oczekują ludzie w Polsce szóstych świąt w niewoli. Zwłaszcza w zburzonej, spalonej Warszawie, zwłaszcza ci co wyszli w ewakuacji w letnich ubraniach i pracują wśród wrogów, zgubieni w bombardowanej Rzeszy, odłączeni od rodzin. Czy ich odnajdzie Gwiazdka Betlejemska, czy im przyniesie raz jeszcze nadzieję lepszego jutra?

MARIA BRZESKA

WIGILIA

dla Toli Korian

Świat między nami.
Noc między nami.
Śnieg.

W śniegu zbłąkany,
W mroku ścigany
Zbieg

Lica pobladłe,
Oczy bezradne
Wzniósł

W niebo nad głową,
W pustkę lodową,
W mróz.

Noc między nami,
Świat między nami —
Drżącą —

Na wysokości,
W czarnej ciemności —
Błysło —

Niebieską iskrą,
Kroplą ognistą,
Lśniącą

Gwiazdą. I słyszy:
Noc szumi — w ciszy —
Wisłą.

* * *

Gdzieś za światem, za nocą,
Pasterze w strachu dygocą,
Nawołują się, wstają,
Blask dziwny widzą, bredzą,

Nie wiedzą, nagle — wiedzą!
Śpiewają!

I wtem anielskie chóry
Chmurą zlatują z góry
I w dłoniach lilie niosą.
Panna Dziecko utula.
A już Heroda króla
Ściga Śmierć z kosą.

Sponad lichej stajenki
Zorze, świetlane pęki
W ciemne niebo wytrysły.
A oto trzej Królowie —
Ach, mąci się w sercu i w głowie
Od szumu — od szumu Wisły.

* * *

Tutaj, naprzeciw siebie,
Zbieg samotny na ziemi,
Gwiazda samotna w niebie,
Oboje niemi.

A ta daleka rzeka
Tak blisko, tak blisko szumi.
I już serce człowieka
Sprostać nie umie

Gwieździe, rzece, żalowi, niebu,
Co się przed niem otwarło.
I umiera tej Nocy. Ach, który —
Któryż to raz już umarło?

MARIAN HEMAR

Rozmowa z Obcą Panią

Kolegom — żołnierzom Dywizji Karpackiej przypisuję

Zawsze po obiedzie chodziłem do nich na pogwarkę. Pomiędzy łóżkami Stacha i Jurka był odrapany, ale wygodny fotel, łóżka stały w kącie z dala od okna i kaloryfera, które działając na zmianę, mroziły lub topiły z gorąca, według jakiegoś dziwnego regulaminu szpitalnego. Odgrodzeni od dalszych łóżek wolną przestrzenią, wyznaczoną przez szafę i kominek, swobodnie klęliśmy los bez obawy zarzutu "ujemnego oddziaływania na stan psychiczny innych chorych".

Temat zwykle poddawałem ja, a oni ze szczytów wysokich łóżek, podparci stosem poduszek wałkowali go zawzięcie ponad moją głową, wymachując kikutami opancerzonych w gips rąk.

Dziś, kiedy wszedłem do nich, rozmowa była w pełnym toku. Co dziwniejsze, moje miejsce było zajęte. Na obróconym w ich stronę fotelu, siedziała jakaś Obca Pani. Kiwnąłem z daleka głową i zająłem miejsce na łóżku Stacha. Właśnie mówiła Obca Pani:

—A jabym się z Panami stanowczo nie zgodziła. To co Panowie mówicie, jest po prostu przeciwne rozumowi, sercu, wszystkiemu, co ludzkiego tkwi w człowieku. Wojnę można nazwać różnie, ale nigdy tak. Wojna jest straszna. Wojna rozbudza najniższe i najdziksze instynkty. Wojna, to nieszczęście i kataklizm. Wojna, to dla mnie jakaś niesamowita, apokaliptyczna bestia, potwór, który zjawia się znienacka, spada niewiadomo gdzie i wyrywa pazurami, tratuje wszystko: najludniejsze miasta, najcichsze wioski, najpracowitsze fabryki, czy najwspanialsze pracownie nauki. Nigdzie nie można się przed nim ukryć. Niszczy wielkie państwa i małe narody, a przede wszystkim ludzi . . . — tu głos jakby się załamał. Popatrzyła chwilę w bok, w stronę okna wychodzącego na przyległą szaro-brudną ścianę.

—Pan powiedział, że wojna jest piękna? A cóż pięknego może być w tym, że miliony ludzi ginie, że zostaje tysiące kalek, że miliony wyrywa się z korzeniami, jak chwasty z ziemi, w którą wrośli od wieków, że krzywdą jednych, słabszych i biedniejszych, tuczą się zbiry albo zbirom podobne państwa, syte i rozepchane własną przestrzenią. Cóż może być pięknego w tym chociażby, że panowie młodzi i dzielni, leżycie teraz w gipsie, zamiast iść wśród zieleni na boisko sportowe, a inni — głos się jej znowu załamał — przedwcześnie, tacy sami, jak wy, odeszli, odchodzą i nie powrócą nigdy.

Mówiła w liczbie mnogiej — panowie, ale odnosiło się to właściwie z nas trzech tylko do Jurka. Jak się później dowiedziałem, Obca Pani przyszła właściwie na chwilę, pierwszy raz, z ramienia jakiegoś koła czy grupy pań wywiedzieć się o naszych potrzebach.

Obca Pani była inna. Miała w sobie coś tak bezpośredniego, bliskiego, matczynego. Jej czarne futro było miejscami trochę wytarte. Na pięknych rękach nosiła obrączkę i jakiś pierścionek, jakby przerobiony z męskiego, z godłem lotniczym, czy marynarskim. Miała porysowaną przejściami czy zmęczeniem twarz — kiedyś piękną. Z pośród czarnych włosów siwy lok opadał ze skroni, wciśnięty niedbale pod czarny kapelusz.

Jurek każdą rozmowę brał poważnie. Młody, zapalny, starał się zawsze wytaczać w dyskusji wszystkie możliwe argumenty. Wierzył we wszystko, co mówił.

—Proszę Pani — zaczął trochę zjadliwie — jabym nie powiedział, że wszyscy tu na wyspie uważają wojnę za coś tak strasznego dla siebie i rzeczywiście tak pilnie wyczekują jej końca. Poza tym małe sprostowanie: pozwolę sobie przypomnieć, że użyłem zwrotu: "i w wojnie jest piękno". A to jedno "i" zmienia przecież zasadniczo sens. Zresztą dobrze. Istotnie ująłem sprawę za szeroko. Rzeczywiście wojna w pełnym pojęciu, ze wszystkimi jej skutkami, jest straszna. I niech Pani nie sądzi, że ja tego nie odczuwam. Ja — proszę Pani — najdroższych moich mam . . . w Warszawie. Może już . . . miałem. Poza tym — przerwał na chwilę, machnął ręką i popatrzył, jak Ona w bok, w to samo okno — ja myślałem o walce. I w walce widzę piękno . . .

Obca Pani pochyliła się ku niemu. Jurek uprzedził ją gestem.

—To nie jest tak, jak Pani myśli: że ja z najmłodszego pokolenia Armii zasmakowałem — jak Niemcy — w okropnościach wojny. Nie. Powtarzam, Pani ma rację, wojna jest straszna. Ja to czuję tak, jak Pani. Ale mimo wszystko nie mogę się oprzeć pięknu, które przecież przemawia nieraz burzą szalejącą piorunami i wichrem kładącym bory.

Gdyby mogła Pani widzieć nocny ogień artylerii, kiedy bije równocześnie dwadzieścia, dwieście czy dwa tysiące dział, jak to było w bojach II-go Korpusu. Kiedy się stoi na przykład na wysokiej górze, nad nieckowatą doliną i nagle w jakiejś sekundzie z dna ciemności, prawie u stóp, wykwitają jak kwiaty, błyski ognia, czerwone i wąskie u lufy, rozszerzające się dalej w kielich różowy na tle dymu. Tu, tam, tam, tu niedościgłe i nieobjęte okiem pełzają ogniki. Przez sekundy — zda się długie — widać tylko ognie, aż nadleci i huk, zlewający się w jedno potworne dudnienie jakby z góry, jakby przez horyzont, toczyło się piekło całe, na olbrzymich czołgach. Błysk pojedynczych strzałów oddawanych raz po raz, raz po raz, wykwita ponad doliną jak łuna w noc zaduszną, nad cmentarzem. Lecą pociski ciągnąc smugę za sobą, jak złowróżebnej komety ogon — na pohybel, na śmierć im. Dym zaściela dolinę, łuna błysków rysuje się na coraz grubszej ścianie dymu, jak bulgotanie ognistej lawy w kraterze wulkanu. I tego nie można nie nazwać pięknem.

Albo kiedy się leży w ciasnej wnęce z ledwo kamieniami obłożonym przedpiersiem i biją moździerze. Leci, jęczy, zbliża się. Głowa sama wciąga się dreszczem w ramiona, hełmem chciałoby się zakryć całe ciało, w sekundach długich jak wiek nadlatuje. Bliski huk — i widzisz poprzez szpary osłony jak skorupy żelaznego garnka i wyrwane bryły granitu lecą po kamieniach, krzeszą ognie, rozpryskują się fontanną błysków, coraz dalszych i mniejszych, aż nowy nadleci pocisk i goni nowymi iskrami, tamte już niewidoczne.

W tym wszystkim jest piękno. Ale ja nie o takim pięknie walki chcę mówić. Nie chcę sprowadzać pojęcia piękna do zewnętrznych objawów, do formy, do efektów wzrokowych czy dźwiękowych wielkiego teatru walki. Ja piękno widzę przede wszystkim w czym innym.

Czy była Pani w jakiejś wielkiej fabryce? W takiej montowni jak z Chaplinowskiego filmu? Nie? Szkoda. To warto zobaczyć. Dziesiątki pawilonów, sal, warsztatów buduje równocześnie skomplikowane maszyny. Równocześnie z narodzinami małej nakrętki, wychodzi regularnie co kilka minut całkowicie zmontowana maszyna.

Wojna, powiedziała Pani słusznie, jest straszna. Ale my obsługujemy dziś skomplikowany mechanizm walki nie dla smaku krwi, choć niesiemy Odwet, nie dla zamiłowania mordu, choć wykonujemy Zemstę, ale po to, aby wywalczyć Wolność, jako wspólne najwyższe pojęcie Sprawiedliwości, Dobra i Piękna.

I dlatego jest dla nas nie do pomyślenia, aby ktoś obcy, miał nasz żołnierski trud walki i zwycięstw obedrzeć z najgłębszego podkładu Wiary, że to, o co się bijemy można nam odebrać albo zastąpić pół-wolnością. I dlatego nasza organizacja walki, tętniąca dziś — jak ta fabryka — szalonym rytmem wspólnego wysiłku, jest znowu dla mnie pięknem.

Bo proszę pomyśleć! zanim się uzyska ten końcowy efekt walki, jakim jest zwycięstwo — pracę rozkłada się na tysiące mózgów, rąk, maszyn i warsztatów, na olbrzymie często przestrzenie i pomiędzy czynniki, zda się, zupełnie z sobą niezwiązane. I potem w pewnej z góry planem obranej minucie, ta cała skomplikowana i jakże ciężka machina, rusza, wszystko się zazębia, idzie, gra i wygrywa. I na domiar wszystkiego, trzeba sobie uprzytomnić, że tym wszystkim rządzi — jak w bajkach — tajemnicze i wszechwładne zaklęcie.

To wielkie zaklęcie, wielką kryjące treść, wyraża jedno proste, a tak silnie rozumiane przez każdego żołnierza słowo: Rozkaz. I ta władza Rozkazu Żołnierskiego, rządząca jednakowo naczelnym wodzem, jak najmłodszym junakiem, władza wielka, bezwzględna, a mądra i sprawiedliwa jednako dla wszystkich, której każdy z nas dobrowolnie ulega i przysięgą potwierdza jej uznanie, jest dla mnie pięknem z właściwości walki wyrosłym.

Pragnę wrócić jeszcze do jednego Pani zwrotu. Powiedziała Pani, że wojna rozbudza najdziksze czy najniższe instynkty czy uczucia. Zgoda. Tylko czy Pani zauważyła, że tak się dziwnie składa, że za hukiem dział idą jeśli nie najlepsi, najdzielniejsi i najmłodsi, to na pewno najbardziej ideowi i najbardziej bezinteresowni, a reszta . . . totalnie pracuje z tyłu?

Skład oddziałów liniowych, nieoparty na żadnej specjalnej warstwie społecznej, bez przewagi jednego elementu, to jakby ogromna delegacja całego kraju. I ta powszechność, ten zbiorowy udział całego kraju, ten ciąg nieprzeparty w jednym kierunku "na bój", to odsunięcie wszystkiego innego, ta wielka czystość i bezinteresowność żołnierska, to uciekanie od względnych wygód w błoto, z bezpiecznego bytu w niebezpieczeństwo, pod kule, to znowu jest dla mnie piękno walki.

Bo przecież to nie jest grupa awanturników szukających przygody, to nie jest wreszcie wojsko z poboru, jak się kiedyś mówiło "z ostatniej obławy", ale wojsko w najpełniejszym znaczeniu — ochotnicze. Pani wie, że tu nie ma jednego człowieka, którýby bez najmniejszego cienia i ujmy dla siebie, nie mógł w drodze od granicy polskiej do szeregów walczących, tak wygodnie i zgodnie się "zadekować", że nikt nie mógłby mieć nigdy do niego już nie prawnej, ale nawet moralnej pretensji.

Tu w szeregach nie ma nikogo, kto by drogi do wojska nie musiał okupić ciężkimi przejściami, słowem, któryby nie musiał iść przebojem do szeregów przez wiele granic i wiele mórz.

I wydaje mi się, że nigdy wcześniej i nigdy później nie było i nie będzie wojska o takim charakterze. A Armia Krajowa? To znowu drugie olbrzymie centrum ochotnicze, tym wspanialsze, że za cenę ugody, kompromisu, pracy dla najeźdźcy, przygięcia karku, znakomita większość mogłaby tak czy inaczej zaasekurować — choćby hańbą — swoje życie.

A jednak miliony wolą walkę niż hańbę, śmierć niż niewolę. Tu i tam potrafiliśmy udowodnić światu, że popiołem zapomnienia przysypać się nie damy i że ani technika nowoczesnej Wielkiej Partyzantki, ani technika walki technicznej nie jest nie tylko nam obca, ale leży nam we krwi, jak kiedyś walka z konia. I tu znowu leży moje piękno walki.

Mówi Pani, że wojna rozbudza wszelkie instynkty i uczucia. Zgoda. Jeśli wszelkie, znaczy i złe, ale i dobre. Pani widzi tylko złe. Ja je też widziałem. Ale patrzę, bo chcę patrzeć, przede wszystkim na dobre. I proszę mi wierzyć, że nigdzie nie widziałem tyle pięknych cech w ludziach, ile tam, w walce.

Tak mi się zdaje jakby ci ludzie walki, i tu i w Kraju, to wszystko, co mają najlepszego i co w innych warunkach rozdziela się i oszczędza, aby wystarczyło na całe życie — chcieli rozdać, wyładować odrazu: całą dobroć, całą szlachetność, całe koleżeństwo i braterstwo i ustępliwość. To wszystko z nich promienieje. Wydaje się jakby z momentem rozpoczęcia pierwszego marszu bojowego, opadało z ludzi zło. Wydaje się, że od najstarszego do najmłodszego są sobie jednakowo bliscy, serdeczni i piękni. I tak złączeni maszerują, walczą i giną. Mówię tu bez różnicy o wszystkich co w pierwszej czy drugiej linii obsługują maszynę oddziału liniowego. A jeśli widzę piękno walki, to je widzę — bo nie sposób nie widzieć — w ludziach.

Pani mówi, że wojna rozbudza najdziksze i najdziwaczniejsze uczucia. Na to zgoda, że są dziwne. Bo co każe lotnikowi, który może zgodnie z zadaniem strzelać czy bombardować z dalszej lub wyższej odległości — podchodzić bliżej lub niżej? Co każe marynarzowi podchodzić pod ogień mocniejszego lub liczniejszego przeciwnika? Artylerzyście p-panc lub p-lot. strzelać, póki go nie rozpłaszczy gąsienica czołgu lub nie zetnie seria atakującego samolotu? Co każe oficerowi bronić ciała zabitego lub ciężko-rannego strzelca?

Pani sądzi, że oni lecą na awans czy odznaczenie? O proszę Pani, za mało ma świat odznaczeń i awansów, aby mógł zapłacić za krew lub życie. Czytała Pani, że chłopcy z II Korpusu, walczą w długotygodniowych deszczach, w śniegu, błocie, bez zmiany przemoczonego raz munduru i o zimnym *beefie*, na wąskich ścieżkach i żlebach urwisk apenińskich? Czytała pani o bojach I Korpusu? A Warszawa? Gdzie każde stanowisko było pełne trupów i rannych w bezpardonowej walce?

Czy Pani myśli, że to przewiduje Rozkaz? Dla żołnierza Rozkaz to rama obrazu, który wypełnia treścią swej duszy żołnierskiej i poświęceniem wielokrotnie przekraczającym ramy Rozkazu określonego przez Dowódcę. I to piękno duszy żołnierskiej wynika z poczucia i zrozumienia walki. —

Jurek przerwał. Na sali pociemniało, w okno zaczął pukać mocny szkocki jesienny deszcz. W narastającym mroku zapytała Obca Pani:

—Czy Pan sądzi, że oni się nie boją, nie cierpią? Że oni w czasie walki widzą też to piękno? Że nie odczuwają głodu, chłodu, wilgoci przemoczonych ubrań i niezmienionych trzewików? Braku snu i przemęczenia? Czy w śniegu, w deszczu, takim jak teraz, nie jest im źle, ciężko i przykro? Że ich może grzeje to piękno walki, o którym Pan mówi tutaj? I czy ja uwierzę, że Pan je widział przed zranieniem — tam?

—Tak! To wszystko jest tak jak Pani mówi — głos Jurka nabrał wolniejszego tempa i twardszego wyrazu — tak to wszystko jest i . . . dużo więcej. Pod Cassino były pozycje, na których żołnierz leżał wiele dni na, czy pomiędzy rozkładającymi się trupami z poprzednich ataków i co gorsze, nie wolno mu było odpowiadać ogniem na ogień. Czy się żołnierz boi? O! proszę Pani. Nie ma żołnierza, któryby się nie bał. Przychodzą czasem takie chwile zwierzęcego, po prostu nierozumnego strachu, kiedy w człowieku drży każda nitka nerwów, kiedy strach potęguje się do bólu, kiedy chciało by się wyć, krzyczeć, rzucić wszystko i biec — obojętnie gdzie.

Ale jednak przychodzi chwila nie apatii i zniechęcenia, ale świadomego, logicznego wzięcia siebie samego za mordę, opanowania nerwów i powrotu do pełni władz nad sobą. To jest zwycięstwo siły woli, woli życia, woli walki i zwycięstwa. I czyż takie zwycięstwo, równe zwycięstwu duszy świętego nad kuszeniem szatana nie jest pięknem?

Tak, jest strach i głód, suchary, suche, prujące gardło, *beef* zimny, ciągle to samo, brak gorącego wiele dni. Chłód, zimno, mróz do kości, trzęsący człowiekiem, wyciskający ostatnie siły. Deszcz przenikający do ostatniego nerwu, rozmokły płaszcz, rozmokłe trzewiki, przemożne pragnienie suchej bielizny, ciepłego koca, nienawiść do mokrych szmat, do pasów boleśnie wciskających się i zdzierających wilgotny naskórek, nienawiść do błota, grząskiego, lepnego, chłonącego ciężkie jak z ołowiu stopy, bolesne w biodrach przy podnoszeniu, wyciąganiu, mieszaniu błota. Grzebanie rowów, stanowisk i dziur, przyleganie całym ciałem do brudnej, błotnistej, lepkiej, trzymającej się gliny.

I pyta Pani, czy w tym brudzie, krwawym pocie żołnierskiego życia i śmierdzących nogach, czy jest piękno. I tu odpowiem jeszcze raz: piękno jest.

Dowód? Proszę zapytać kogoś z tych co byli pod Monte Cassino, obojętnie czy tego co nosił amunicję, czy tego co popędzał muły, czy tego z artylerii, czy wysuniętego punktu łączności. Kogoś, kto był na "Maczudze", czy kogoś ze spadochroniarzy, kogokolwiek: czy to, co zniósł jest ohydne i wstrętne.

Usłyszy Pani odpowiedź, nie fałszywym wstydem podyktowaną, ale szczere, pełne zadowolenia z siebie i poczucia triumfu wyznanie, inne, niż Pani przypuszcza.

Bo tu uwzględnić trzeba jeszcze jeden czynnik. Jeżeli takie same warunki są w obozie koncentracyjnym, to jest istotnie piekło. Ale jeśli uwzględni się cel i zrozumienie celu walki — to sprawa przedstawia się inaczej.

Kiedyś oficerowie szli z tyłu za szeregiem ze szpadami i trzcinami z ołowianą główką. Dziś idą w szeregu — obok. Kiedyś żandarmeria była wyłącznie do wyłapywania uciekinierów z walki i była znienawidzona. Dziś — głównie reguluje ruch i pomaga, ma za sobą sympatię i szacunek żołnierzy. Kiedyś za przestępstwa odziewano w mundur, dziś dla bandytów jest kula w łeb, a dla żołnierza najgorszą i najbardziej hańbiącą karą jest wydalenie z szeregów.

Pani ma rację. Te straszliwe warunki i trudy walki istnieją i nikt i nic nie potrafi odtworzyć ciężaru życia żołnierskiego. Ale cel, cel właśnie powoduje, że żołnierz to znosi i wytrzymuje. I jeśli trud Cassina, "Maczugi" czy Warszawy jest faktem uznanym i ocenionym przez historię, a żołnierz mówi o nim z dumą jako o pięknym wysiłku, tak i ciężki okres obecny, po okresie odpoczynku nabierze innego wyrazu. Piękno więc istniało, choć było utajone.

Jurek przerwał zapalając następnego papierosa. Obca Pani zrazu milczała, potem popatrzyła na nas kolejno i rzekła do Jurka:

—A czy panowie zdajecie sobie sprawę, że wojna i ta niby piękna walka, na którą ja tak inaczej patrzę, to przecież nic innego jak tylko mordowanie ludzi?

Ręce Jurka leżące na kocu, mimowoli zacisnęły się w pięści:

—Proszę Pani, od wieków jako podstawa wszystkich wierzeń istnieje dogmat, głoszący słuszność, celowość i obowiązek walki: Dobra ze Złem. Prawdy z Kłamstwem. Światła z Ciemnością. I my tę walkę prowadzimy i prowadzić będziemy. Nie myśmy ją rozpoczęli, ale my ją zakończymy.

Nienawidzimy, bo prawo do nienawiści dali nam wszyscy oni. Nie mordujemy ale zabijamy, niszczymy, tępimy zło, kłamstwo, ciemność. Zabijając, wymierzamy sprawiedliwość. Walczymy o Dobro, o Prawdę, o Światło.

Zresztą innego wyjścia nie ma. To albo tamto. My albo oni. Ale jak musi zwyciężyć Dobro, tak musi zwyciężyć nasza sprawa. Walczymy, atakujemy, bo teraz bronić się można tylko atakiem. I atakować będziemy zło bez względu na jego nazwę, na jego kolor. To jest walka o zachowanie gatunku przez bój.

—Ale czy Pan nie widzi, że w tej walce o zachowanie gatunku giną nie najbardziej niedołężni, ale właśnie najsilniejsi, tacy . . . najpiękniejsi? — zapytała Obca Pani jakimś obcym głosem, nachylając się ku Jurkowi.

Nie było odpowiedzi. Zapadł już ciemny mrok. Wiedzieliśmy dlaczego Jurek nie odpowiada i o czym myśli w tym mroku. Miał przyjaciela, takiego na śmierć i życie. Przeszli razem przez wszystko i trzymali się razem zawsze nierozłączni. Byli w jednej kompanii, każdy na plutonie. Tamten zginął pewnego dnia. Jurek ranny wcześniej o jeden dzień dowiedział się o tym w szpitalu. Ani w chwili otrzymania wiadomości, ani nigdy po tym do obecnej chwili nie rzekł o nim do nikogo ani słowa.

Obca Pani pochylona nad Jurkiem pytała dalej:

—No niech Pan powie. Gdyby Panu zabili przyjaciela, takiego najdroższego, najserdeczniejszego druha i gdyby Pan spotkał jego matkę, co by Pan jej powiedział wtedy i czymby Pan wytłumaczyć potrafił śmierć jej jedynaka?

Jurek chwilę milczał. Po tym podniósł jej rękę bielejącą na czarnym kocu i przycisnął do ust i powiedział cicho, bardzo cicho:

—Nie płakać . . . Mamusiu. Polska ma większe do niego prawo. Walczył i zginął jak żołnierz. Zdobył najwyższe piękno.

Obca Pani pocałowała go w czoło i bez słowa wyszła. Wyszedłem za nią. Przed drzwiami natknąłem się na siostrę dyżurną patrzącą za odchodzącą Obcą Panią. Kiedy mimowoli przystanąłem, Siostra powiedziała:

—Biedna. Trzy tygodnie temu straciła na froncie syna.

Rozeszliśmy się. Na schodach słychać gwar kolegów powracających z kina: była tam rosyjska komedia w angielskiej wersji.

TADEUSZ JERZY BULSIEWICZ

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku, Dowódca i Żołnierze Baonu "Krwawych Koszul" składają wszystkim żołnierzom Baonu, przebywającym w szpitalach i jednostkach W.P. na terenie Wielkiej Brytanii najserdeczniejsze życzenia.

PERGAMIN Z PRZED 1846 LAT



zdobił STEFAN OSIECKI

Przeczytałem świeżo jedną z najstarszych książek, jakie posiada ludzkość, rzecz wydaną po raz pierwszy w 98 r. po Narodzeniu Chrystusa, napisaną przez najgenialniejszego historyka rzymskiego, a omawiającą najaktualniejszy temat dwudziestego wieku: Germanię. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie ta lektura pokrzepiła. W związku z najważniejszymi wydarzeniami naszego stulecia w Europie, ma się po przeczytaniu studium Tacyta o Niemcach, koszmarne wrażenie, że naród niemiecki jest nieusuwalnym wrzodem człowieczeństwa. Ropień powinno się tak zoperować, żeby się nie mógł odnowić. Nie potrafili tego zrobić z Germanami Augustowie, Tyberiusze, czy potrafi to uczynić nasza demokratyczna współczesność, mimo, że się nauczyła w walce z mikrobami używać innych mikrobów, wzmacniać i rozmnażać jedne przeciw drugim?

Tacyt, piszący za Trajana, oblicza, że Germanie po raz pierwszy dali się Rzymianom poznać za konsulatu Metellusa i Carbona, czyli w 640 roku istnienia Rzymu. Od owej pory do chwili, w której to mówi, upłynęło około dwustu dziesięciu lat. "Ileż czasu na pokonanie Germanii!" — woła wielki historyk i patriota rzymski i dodaje: "Ani Samnici, ani Kartagina, ani Hiszpania czy Gallowie, nawet Partowie nie zmuszali nas do częstszego bicia na trwogę. Bo wolność germańska jest straszniejsza od tyranii Arsacydów . . . za jednym zamachem zniszczyli pięć legionów Warusa i trzy legiony Augusta, tylko Mariusz z wielkim trudem zdołał ich pobić we Włoszech. Juliusz Cezar w Galii, Druzus, Tyberiusz, Germanicus w ich własnym kraju . . . w ostatnich czasach łatwiej było nad nimi zatryumfować, niż ich pokonać".

Dwieście dziesięć lat do Trajana, blisko tysiąc osiemset do Wiktora Emanuela, razem w ciągu dwóch tysięcy lat nie można wytłumaczyć Niemcom, że nie są *"über Alles"*. Napadają sąsiadów i próbują zapanować nad światem. Pełni okrucieństw, głoszą swoją "zacność". Nawet teraz, w szóstym roku tej wojny, prowadzonej przez nich po zbójecku, znajdują się ludzie, którzy wierzą w ich kulturalność.

W Anglii, gdzie przed wiekami tak pięknie rządził i po rycersku wojował teść Tacyta, Agricola, mówi się pod deszczem bezsensownych ślepogratów i pod bombami stratosferycznymi o istnieniu "dobrych Niemców"! Owszem, byli dobrzy Niemcy, ale już w starożytności wymordowali ich współziomkowie. Nosili imię Cherusków, zamieszkiwali Brunświk, Brandenburgię . . . sąsiadowali z innymi szczepami germańskimi, " . . . nie niepokojeni przez napady, zbyt długo spoczywali na łonie pokoju, co jest bardziej miłe, niż rozsądne" — mówi Tacyt — "bo spokój sąsiadów pysznych i potężnych jest nieszczery, a kiedy wybuchnie wojna, opinią sprawiedliwego i umiarkowanego cieszy się zawsze mocniejszy. Dowodem tej prawdy są Cheruskowie" — mówi dalej Tacyt — "nazywano ich sprawiedliwymi i dobrymi, teraz ich nazywają głupimi".

Powinniśmy częściej czytywać Tacyta. Mądry był człowiek, chociaż niewesoły.

Cheruskami dwudziestego wieku możnaby nazwać Austriaków, zamordowanych w osobie Dolfussa, zniewolonych, zaanektowanych i wessanych przez państwo hitlerowskie po uwięzieniu Schuschnigga. Dobry Niemiec, Schuschnigg, żyje po dziś dzień, ale w zamknięciu, pod strażą niedobrych Niemców Himmlera. Jest to błękitna kropla krwi, wchłonięta przez gigantyczny organizm urodzonego mordercy i w jego arcyczerwonej krwi rozpuszczona bez śladu. Nie ma dobrych Niemców!

Ci naiwni Europejczycy, którzy dzielą Niemców na złych i dobrych, zapominają jak wygląda dobry Niemiec, wyidealizowany przez Schillera. Karol Moor najpierw tworzy bandę zbójecką, potem zabija swoją niewinną kochankę, wreszcie, osaczony przez elementy porządku społecznego, bije się zażarcie na progu swojej ostatniej jaskini, jak to robią dzisiaj wszyscy Niemcy na progu Germanii, po nieudanej wyprawie rabunkowej na cały świat. "Kainowe plemię" — mógłby po schillerowsku wołać dr. Goebbels ku narodom sprzymierzonym, które są bliskie chwycenia nareszcie za kołnierz dzisiejszego Karola Moora, idealistę niemieckiego, działającego pod pseudonimem Adolfa Hitlera. Banda Karola Moora była złożona, jak wiadomo, ze studentów. Ci studenci kradli, rabowali, podpalali, gwałcili i mordowali, ponieważ wszyscy poza nimi byli w ich przekonaniu "kainowym plemieniem". Studenci z bandy Hitlera nazywają świat plemieniem niearyjskim, nienordyckim. "My blondyni!" — woła czarnowłosy Hitler. "My błękitnookie Zygfrydy o rycerskiej postawie" — woła garbaty Goebbels. "My wysmukli i wstrzemięźliwi!" — woła studencik Goering. "My łagodni i szlachetni!" — woła Himmler władca kamer gazowych. "Jeżeli świat ma być brzydki czyli niegermański" — powiada Rosenberg — "niech zczeźnie z oblicza ziemi! Jesteśmy starą rasą o młodej energii. Pisał o nas już Tacyt! Pokonaliśmy przodków Mussoliniego, którzy stworzyli pierwszy *commonwealth* w historii, pokonamy i Churchill'a! A jeżeli nie pokonamy, to pod Berlinem wysadzimy w powietrze glob ziemski! Jeżeli nie my mamy panować, to nikt nie będzie panował! Pisał o nas już Tacyt!"

Niemcy liczą na poróżnienie się Sprzymierzonych. Stąd ich wytrwałość wśród klęsk na polach bitewnych. Ale Niemcy umieją się poróżnić i między sobą. I o tym pisał Tacyt. "Przeszło sześćdziesiąt tysięcy Germanów padło nie pod ciosami Rzymian, lecz co jest jeszcze wspanialsze — na ich oczach i jakby dla ich zabawy. W braku miłości dla nas, oby wiecznie mogła trwać w sercach narodów sąsiedzkich wzajemna ich nienawiść!"

Wprawdzie Hitler dokonał ostatecznego zjednoczenia narodów germańskich, ale nie w tym stopniu, żeby Austriak miał się uważać za Prusaka. Owszem, duch pruski rozpiera dzisiaj wszystkie narody germańskie, objęte władzą Hitlera, ale wzajemna nienawiść tych narodów, posiadających do niedawna własne dynastie i odrębne dzieje, mogła by się na pewien czas odnowić pod wpływem przegranej wojny i zbawczej dla Europy polityki Sojuszników. Mówię "na pewien czas", dopóki sojuszniczy korpus pedagogiczny nie przekształci zasadniczo poglądu niemieckiego na współżycie narodów. Oczywiście, nie będzie rzeczą łatwą wybicie im z głowy, że są narodem panów i wykarczowanie z ich usposobienia tego, co Tacyt zamyka w słowach: "pokój jest im nieznośny". "Więcej!" — dodaje Tacyt — "uważają za niegodne i za nikczemne zdobywanie w pocie czoła tego — co można mieć przez rozlew krwi".

O wrodzonym okrucieństwie Germanów świadczy i to, jak postępuje mąż z niewierną żoną. Goli jej głowę, odziera z ubrania w obecności rodziców i krewnych, wypędza z domu i pędzi batem poprzez osiedle. Utrzymującym, że Gallowie są w gruncie rzeczy pochodzenia germańskiego, można by zaprzeczyć przez wskazanie wręcz odmiennego postępowania chłopów francuskich w razie niewierności żony. Do początku dziewiętnastego wieku w niektórych wioskach francuskich zachował się zwyczaj, że zdradzonego męża sadzano na konia, twarzą do ogona i oprowadzano po wsi wśród śmiechu mieszkańców. Germanie nie mają poczucia humoru. Mimo, że — jak mówi Tacyt — "noce i całe dni spędzają na piciu, co nikomu tam nie uwłacza. Kłótnie po pijanemu są częste i nie ograniczają się do obelg, najczęściej się kończą ranami i zabójstwem". "Głód zaspakajają bez żarłoczności i bez wyrafinowania. Przeciwnie co do picia, w piciu nie są powściągliwi. Gdyby zadowolnić ich chłonność, dostarczając im trunki w pożądanej przez nich ilości, ten nałóg wyniszczyłby ich równie łatwo jak wojna".

Może by pójść za radą Tacyta i po prostu rozpić Niemców, zamiast ich reedukować? Gdybyśmy stresemanowskim i hitlerowskim Niemcom zaciskającym pasa, przez dwadzieścia lat pokoju po pierwszej wojnie światowej dostarczali zamiast żelaza i manganu w dowolnej ilości alkohol, darmo! Mimo, żeby to było bardzo kosztowne, mniej by nas kosztowało niż druga wojna światowa. Weźmy ołówek do ręki! Przede wszystkim nie było by rozlewu krwi. Na konferencji pokojowej nie powinno się pominąć starego pomysłu Tacyta. Wiemy, że Niemcy już się przygotowywują do trzeciej wojny o panowanie nad ludzkością. Upijmy ich! Niech się w bezwładzie zwalą na ziemię.

Żaden z narodów sojuszniczych nie zdobędzie się na zastosowanie do Niemców ich własnych kamer gazowych, żaden się nie zdobędzie na rzeź osiemdziesięciu milionów morderców, rabusiów i podpalaczy, żaden się nie zgodzi nawet na humanitarną sterylizację tego patologicznego narodu; może jednak zwycięskie demokracje przystaną na darmowe wydawanie Niemcom bezgranicznej ilości alkoholu w barach i restauracjach niemieckich? W państwach demokratycznych obywatele mają przecież prawo się upijać i rządy demokratyczne z najzupełniejszym spokojem czerpią dochody z handlu alkoholem, nie ma więc nic niemoralnego w "obiegu spirytualiów". Uczyńmy ten obieg możliwie najobfitszym w Niemczech!

Pod koniec swego studium o starożytnych Niemcach, najznakomitszy historyk rzymski wyznaje, iż nie wie, czy Finów zaliczyć do Germanów, czy może uważać ich za bliżej spokrewnionych z Sarmatami. "Żyją w stanie ostatecznej dzikości" — mówi — "w nędzy straszliwej. Bez broni, bez koni, bez domów. Żują trawę, okrywają się skórą, śpią na ziemi. Całym ich bogactwem są strzały, których końce, w braku żelaza, zaopatrują w zaostrzone kości". "Dzieci nie mają innego schronienia przed drapieżnymi zwierzętami i ulewą, jak splecione gałęzie". Przebywanie w takich warunkach "uważają za lepsze" — mówi dalej Tacyt — "niż spędzanie życia na uprawianiu ziemi, wznoszeniu budowli, oddawaniu się nadziejom i obawom, na dygotaniu o swój majątek i na pożądaniu majątku cudzego. Bezpieczni przed ludźmi, bezpieczni wobec bogów, doszli do tego stanu, tak trudnego do osiągnięcia, kiedy się już zatraca potrzebę pragnień". Takimi filozofami, według Tacyta, byli Finowie owych czasów, takimi filozofami, czy może ludźmi do ostateczności zmęczonymi i zniechęconymi do życia przez dookolną zachłanność germańską? Jakkolwiek było istotnie, końcowa uwaga największego historyka rzymskiego świadczy o jego własnej zgadze przeciwgermańskiej i brzmi nie po rzymsku melancholijnie.

Wiek męski Tacyta przypadł na okres panowania dwóch łagodnych Cezarów, ale pierwsze kroki na stopniach kariery "administracyjnej" stawiał za Wespazjana, kiedy się dymił jeszcze Rzym po wojnach domowych, rozpętanych przez zamach Galby, kontynuowanych przez rywalizację Nimfidiusa, Witeliusa i Ottona, a niejeden złoty młodzieniec nadtybrzańskiej stolicy nucił w żalu po Neronie estradowe kompozycje Imperatora-Tenora, artifexa-kabotyna na tronie starożytności. Oprócz własnych wspomnień miał młodziutki Tacyt pełną głowę opowiadań obywateli siwowłosych o tych burzach rzymskich, o tych po dzień dzisiejszy sławnych wojnach i rewolucjach i buntach, które miotały prawie nieustannie od czasu Mariusza, Sulli i Cezara do szczęśliwego Wespazjana nawą państwową najpotężniejszej w historii rzeczypospolitej. Burze zewnętrzne, bijące w pawilon Rzymu, nazywały się Germanią. Powtarzały się do uprzykrzenia, dokuczliwie i nieznośnie i statyście rzymskiemu, jakim był obywatel Tacyt, widocznie odechciewało się /chwilami/ żyć.

Czy warto być państwem cywilizowanym, pełnym majestatu i bogactw, skoro cywilizacji, dostojeństwu i wygodom nieustannie zagraża zniszczenie ze strony Germanów? Czy nie jest mądrością raczej wyzbycie się bogactwa i kultury, sypianie w schronach ze związanych gałęzi, przyodziewanie się skórą zwierzęcą, pędzenie życia w nędzy? Przez to nie przyciąga się pożądliwości sąsiadów, zyskuje się bezpieczeństwo, więc się osiąga spokój, najwyższe dobro filozofów! "Bezpieczni przed ludźmi, bezpieczni w obliczu bogów" — powiada Tacyt o Finach, bo dla swojej nędzy nie mogą przecież być łupem!

Tacyt nie znał Germanów. Nie znał ich w pełni. Nie wiedział, że w swoim przeświadczeniu są *Herrenvolkiem* i że w swym instynkcie posiadają kanon *Lebensraumu*. Ludy bogate, czy biedne, mają im służyć; obce ziemie, cudze ojczyzny, mają się stać ich własnością. Udziałem wszystkich — wydziedziczenie, dolą wszystkich — niewola, kulę ziemską stworzyli bogowie niemieccy na raj dla Germanów!

A i my z pewnością nie znamy ich jeszcze do głębi! Tacyt mówi, że Niemcy uważali za niewłaściwe w stosunku do majestatu wieczystości zamykać bogów między murami, lub nadawanie bogom kształtów człowieczych. Uświęcają gaje i nadają imię bóstwa mrokowi i milczeniu lasów, grozie leśnej, głuszy. Takim mrokiem i taką głuszą jest serce narodu niemieckiego.

Serce?

Zamiast serca, ten naród ma knieję!

WACŁAW GRUBIŃSKI



CHÓR PĄTNIKÓW

(Z poematu: "Fresk Maryjny")

Niechaj nie brudzi tego wieczoru
bieli Twych lic,
smutek wygnańców, którzy nie mają
naprawdę nic.

Niechaj nie martwi Twego uśmiechu,
nasz wykrój warg,
którzy składamy codziennie pacierz
z wiązanki skarg.

Niechaj ten wieczór będzie dostojny,
jak pierwszy dzień,
kiedy poznałem szczęście prawdziwe
i pierwszy cień.

Niech kolęduje, lecz niech nie straszy
strumykiem łez,
chociaż dla Ciebie to rozpoczęcie,
nam bliżej kres.

Nad nami gwiazda lnianym warkoczem
rozdziela czas:
Tobie oliwka, nam błysk wesela —
mroki i brzask.

Ciebie nawiedzi anioł z goryczą,
męka wśród dróg,
nam cud się zbliża wśród nocnej ciszy —
Ojczyzna, Bóg.

JERZY FACZYŃSKI

DO DZIECI

O wy, szczęśliwe małe dzieci,
Wy, co wierzycie w noc tajemną,
Wskroś której echo kolęd leci,
W noc śniegiem białą, lasem ciemną.

O wy, maleńcy przyjaciele,
Co idąc w wieczór spać marzycie
O jakiejś gwiazdce i aniele
I o stajenki żywym micie.

Wam się anielskie serce wzrusza
Blaskiem choinki, złotych szyszek,
Włosów anielskich pióropusza,
Wam boski rodzi się Braciszek,

A ja widzicie, też przed laty
Snów choinkowych znałem dziwy
I także anioł mi skrzydlaty
Wieścił, że Bóg się rodzi żywy.

Dziś, gdy mi bliższy Bóg na krzyżu
Chcę was przy sercu mieć, w pobliżu
Dzieci me, bukiet kwiatów świeży,

Bo w waszym serca biciu słyszę,
Wplątane w śnieżną jakąś ciszę,
Echo kolędy "W żłobie leży".

JAN ROSTWOROWSKI

Antonina opowiada o Niemcach



zdobił
STEFAN OSIECKI

Najbliższy widok na dom Zofii był nieco z góry, spod dębu. Wybiegły pod ten dąb. Pierwsze, co uderzyło ich oczy, to że dom jak gdyby zmalał i zapadł niżej. Drzewa urosły! Ich korony bardziej z bliska i z wysoka ocieniły widoczną stąd kondygnację dachu. A jednak to był ten sam dach z rynną poprzeczną, w którą wpadały piłki rzucane z tarasu w ich okna na pierwszym piętrze; ten sam stromy dach, po którym gołębie schodziły tak niepewne swojej powagi, ostrożnie stawiając nóżki i wydymając gardziele. Ten sam, z którego paw Paweł rano i wieczór krzyczał, jak muezzin, w stronę słońca.

Patrzyły z zapartym tchem . . . Słupy kamienne na tarasie z żółtawych zrobiły się zielone: rdest spowił i pochłonął je całe. Przeźroczysta krata między nimi zmieniła się w solidną ścianę zieleni, przyprószoną gdzie niegdzie kwiatkami. Poniżej tarasu, jak dawniej, były róże. Ale na placyku żwirowym między nimi stał obcy fotel. Pusty. Nigdy, nigdy nie było w domu Zofii takiego fotela w czerwone i fioletowe pasy! Grobla przez wąwóz gęsto obrosła chwastem. Próżno upatrywały puszystego ogona Diany charcicy, która lubiła tamtędy spacerować.

Nie miały odwagi iść teraz do Boćkowskich, gadać z nimi, posyłać po Antoninę. Postanowiły od razu pójść pod tę bramę, skąd dom widać od frontu i najpierw dobrze w samotności popatrzeć. Bramą truskawkową nazywano furtę w żywopłocie, otaczającym część parku, gdzie były kwatery truskawek i malin. Ponieważ prowadziła na posesję sąsiadów, mało kto z obcych o niej wiedział. Wspólną z sąsiadami dróżką graniczną przemknęły, nie sprowokowawszy czujności ich psa. Furta była zamknięta, ale widok otwarty na trawniki, spadające poniżej truskawczarni ku wąwozowi, po którego stronie drugiej słał się ogród kwiatowy i — na wzgórzu — dom stał w całej swojej nieregularnej okazałości, zwrócony na południe, ciemno-złoty w ukośnym świetle zachodu.

Pod dębem Kira miała takie uczucie, jak gdyby oglądała kogoś drogiego, kto śpi, albo jej nie dostrzega. Obchodząc park dokoła, powiedziała: — "Zuziu, jeżeli cię to zanadto przejmuje, wróćmy".

Teraz wrócić już nie było można: dom zobaczył je. Wszystkimi szybami pierwszego piętra i szklaną taflą drzwi z hall'u na taras patrzył wprost na nie. Olśniony, uroczysty, pełen sekretów i zapytań. Okna miał zamknięte z wyjątkiem jednego — na prawym skrzydle, w dawnym pokoju u Zuzi. Jasna, muślinowa firanka falowała w nim, coś wytrwale sygnalizując, czy nawołując do czegoś. Z tylnego komina wysnuwał się leciutki dym. Skrzynki na tarasie były — po dawnemu — pełne nasturcji i bratków. Wzdłuż lewego węgła, od poddasza szedł nowy zaciek — brunatna, wąska plama. Stopnie kamienne z placyku na taras wyglądały zrujnowane, widocznie wiele po nich dźwigano ciężarów; na murku, obrzeżającym te schody coś błyszczało. Nóż? sekator?

Było cicho. Pachniało różnymi kwiatami . . . Drzewa — z jednej strony ogromne graby i lipy, z drugiej — równie wielkie, ale przeźroczyste brzozy, stały nieruchomo, dając folgę i znaczenie każdemu listkowi z osobna; wietrzyk bezszelestny, jak wstążka, prześlizgiwał się po koronach. Dopiero po chwili wczesny słowik nieśmiało zaczął kląskać. Zuzia nieswoim głosem powiedziała: — "O Boże, niech nikt nie wyjdzie z tego domu teraz. Ja nie chcę". Niemal jednocześnie skrzypnęły drzwi od tarasu i blask frunął z poruszonej szyby.

Póty biegły w dół drożyną sąsiadów aż zaszyły się w gąszcz, stanowiący przedłużenie Brzeźniaka. Tam przycupnęły. — "Zachowujemy się, jak idiotki" — Kira pierwsza odzyskała mowę. Zuzia drżała: — "Za skarby świata nie chciałam zobaczyć tego Szwaba co tam mieszka". Ścisnęła skronie rękami i rozszlochała się. Kira milcząc, głaskała ją po plecach. Kiedy płacz ustał, powiedziała zamyślona: — "Dziwne! Właśnie ty, taka rozsądna, boisz się tak rzeczywistości i tak przepadasz za Zofią . . ." Na to żal Zuzi powrócił. — "Zawsze wiedziałam — wybuchnęła — że i ty także Zofii nie lubisz. Dlaczego? Przecież ona jest bardzo porządna! A zresztą to jest siostra mamusi". — "Ależ, Zuziu — Kira uśmiechnęła się — ja także ją kocham. Właśnie dlatego wcale mnie to nie obchodzi czyją jest siostrą i czy jest porządna". — "No, to za co ją kochasz?" — "Za to samo co ty; że bywałyśmy u niej szczęśliwsze, niż gdziekolwiek." — "Nieprawda! Ja ją kocham za to, że jest dobra". Kira opuściła ręce. — "Może . . . Może za to".

Ktoś nadchodził . . . Przybrały najnaturalniejsze postawy, udając, że odpoczywają, zmęczone spacerem niedzielnym. — "Kobieta! — szepnęła Zuzia — Wygląda na tutejszą" . . . Kobieta zatrzymała się opodal i patrzyła na wszystkie strony. — "Psia kość — mruknęła, po czym półgłosem, niepewnie zawołała: — "Panno Zuziu, panno Kiro . . ." To była Antonina.

A więc Oberst Kuternoga nie wrócił jeszcze z Rawla. Boćkowszczanka natomiast poznała je, idące za stodołą, i dała znać Antoninie. Niechże wstąpią do Boćkowskich — tam można gadać swobodnie, bo chłopaki na robotach w Niemczech, więc starego Zieloni zostawiają w spokoju.

W chałupce sąsiadów wszystko było tak, jak 31-go sierpnia 39-go roku, kiedy Zuzia wpadła tam po nocy, głupio się pytać, czy ich radio podawało warunki pokoju Hitlera dla Polski. Wszystko tak samo, tylko radio znikło, a także znikli dwaj synowie, zawołani "radioci". Stary przywitał je bez zdziwienia, jak wtenczas witał wojnę, jak z czasem zapewne pokój przywita . . . Wysunął krzesełka na środek izby, prosił siedzieć, dalej ćmił swego papierosa.

—"Jaki jest ten Oberst, Antonino?" — rzuciły się na kucharkę Zofii. Siedziała naprzeciw nich w jedwabnej sukni "w ciapki", stroju odświętnym, który znały tak dobrze — chudsza, ale jeszcze dość obfita, poszarzała i jak gdyby stale, głęboko ubawiona, bo policzki nieustannie drgały jej od tłumionego śmiechu.

—"Jak to Niemiec — splunęła — Raz taki, raz inny, tylko że do mądrego człowieka nigdy nie podobny".

—"Co to znaczy?"

—"Znaczy, że nie wie czego chce. Jak tu nastał do nas zimą, dom był pusty, bo te pierwsze Szwaby wszystkie panine rzeczy pomału wywieźli, a co nie wywieźli, to zmarnowali. Więc najpierw on do mnie z pyskiem, żeby wysprzątać. A ja już bez ten czas poznałam, że Niemcowi najgorzej ustąpić. Więc też się rozdarłam, że nie ja napaskudziłam, nie ja będę sprzątała i że te doktorzy, co byli przed nim, nawet szczotki i gałgany zabrali, jak ten swój "Heim" dla kalików zwijali. To drugiego dnia zawołał burmistrza, kazał ludzi spędzić i sprzątać. Po tym mebli nazwoził. Trochę od profesora z Górek, co go rozstrzelali, trochę pokradł z pałacu w Marczynie, trochę ze szkoły stolarskiej za papirek i dopiróż żeby mu gadać, w jakim pokoju co było za naszej pani. Tak ja mówię: tu biblioteka, tu pokój muzyczny, tu znów ubieralnia . . . Ten jego deńszczyk wszystko przetłumaczał, bo ponoć z Gdańska rodem. Tak on dopiero, że ja łżę, że nasza pani, jeżeli grała, to na gramofonie. A ja znów, że nasza pani w Berlinie też koncerty dawała, a fortepianów u nas było dwa, tylko że niemieckie dochtorzy do nich piwo lali, a nasze płyty, jakie tylko byli z Szopenem, to potłukli, aby foxtrotty lubieli. Tak on się wściekł i zakazał mi z moji facjatki wychodzić.

To znowuż po tym sprowadził fortepian z Warszawy i wstawił do dużej jadalni. I woła mnie i deńszczykowi każe mówić, że u Polaków największy pokój zawsze jest obrócony na żarcie, a dla niego muzyka ważniejsza i bez to jadalnia będzie tam, gdzie u pani był mały gabinecik. To ja powiadam "gut". To on na mnie, żebym nie śmiała po niemiecku się wyrażać, bo to nie jest język dla świń. Chciałam manatki, co mi tam jeszcze zostało, brać i iść do szwagra na wieś. Nie dał.

Ale gotować także samo zabronił. "Chamskie jedzenie" — powiada. Wszystko ma ów Fryc robić. Tylko, że ów Fryc, choć wszelkiego dobra wbród mają, oprócz kluchów i breju, nic upitrasić nie potrafi. Oberst drze się na niego, to chłopisko w te dyrdy do mnie. Jak potrzebuje czego, to zawsze jestem "frolajn". Więc po tym ten Oberst dobrze sobie zmiarkował, że moje chamskie bryzolki z pieczarkami są lepsze, jak jego niemiecka breja. Przecie nie raz kuśtyka korytarzem do łazienki i widzi, że ja mięso żyłuję, albo ciastka piekę . . . Ale raz naumyślnie włazi do kuchni, kiedy kartofle się na ogniu warzyli i powiada: "Pfuj! Polski Mittgessen dla Polska Schwein".

To samo wedle ogrodnika. Wszystko, co było za pani — polski śmietnik powiada. Byliny wyrzucić, róże wyrzucić, wszystko będzie sadzone po nowemu. Wyrysował na kartce regularne takie kwadraciki z numerkami, tu — powiada — lewkonia różowa, tu petunia granat, a tu kółki, znaczy się róże sztamowe. I żeby wszystkie kwiatki byli pachnące. To Andrzej kartkę do kieszeni schował, pieniądze na flance i nasiona schował, a jak pora na roboty przyszła, wszystko zrobił rychtyk po staremu; tyle że tabliczki na patykach powtykał wszędzie z napisami, co mu ksiądz dziekan po łacinie z katalogu przepisał. No, to jak wiosna się zrobiła, Oberst Szwabów z Warszawy naspraszał i dawaj się chwalić: że śmietnik zastał, ale tera pod jego rozkazami śliczny ogród kwitnie, jak we Vaterlandzie i naukowym sposobem.

To znowuż z Rawla lafiryndę przywiózł. Prowadzi ją do łazienki i szczeka: Za Polaków tutaj był skład na nocniki — powiada. — Dopiróż tę łazienkę /co nasza pani sama wzór na kafelki rysowała/, to on — powiada — założył, bo Polaki kąpieli nie znają. To wiem, bo Fryc, jak co jest do śmiechu, to mi nieraz powtórzy. Więc ta lafirynda od samego rana po tarasie na goło gimnastyki wyprawiała, bo powiada słońce, to Pan Bóg. A Oberst w majtkach kąpielowych na fortepianie przygrywał. To raz Sowińszczak przechodził przez placyk z nowymi oknami do inspektu, co Andrzej u niego zamówił. Jakże ten Oberst nie skoczy na niego ze śpicrutą, że on śmie oczy na wyższą rasę podnosić, bo ta jego naguska akurat fikołajki pod ten czas fikała. Mało nie zakatował chłopaka.

A znowuż nieraz włóczy się o księżycu po ogrodzie, wiersze sam do siebie gada, głośno tak coś wykazuje po szwabsku i głos mu drży jak u tej baby pod kościołem. No to jaki on jest? Głupi. Wszystko niby zagrabić potrafił i wszystko na swoim postanowić, a ludzie się z niego śmieją, na opak mu robią, i jeszcze na ostatku złe nim po nocach trzęsie".

Podczas tej opowieści, drzwi raz po raz skrzypiały i coraz to ktoś wsuwał się do izby. Przywitania na ogół nie były wzruszające. Sprawy tak wielkie toczyły się już tędy i ludzie tak nieludzcy nawiedzali mieszkańców! Jedna tylko Mania Sitkówna rozczuliła się, bo po tych samych wysepkach wiślanych szukały kiedyś samotności we dwoje — ona z Bolkiem-piekarczykiem i panna Kira ze swoim pięknym Włochem. — "Ach, proszę pani! — krzyknęła — Pan Bóg panią oświecił, że pani cudzoziemca sobie za narzeczonego obrała! Chyba on lepszego szczęścia zażywa, jak mój Bolek u Ruskich gdzieś w łagrze". Ale stary Boćkowski warknął: — "Wiadomo, dla panny Mani życie bez faceta to śmierć".

—"Za co profesor z Górek został rozstrzelany?" — spytała Zuzia. Murarz Zawodzki boleściwie cmoknął. — "Cóż to mówić: za co? Loteria! Mógł palcem nie kiwnąć i nigdy przez te lata z domu nie wyjść, też by go zabili. I tak miał szczęście, że powolnego konania w męczarniach uniknął. Że do Oświęcimia go nie zamkli" . . . — "Jak to było?" — "A tak było, że się zabrał z Warszawy ciężarówką, co wiozła płuczkę do cukrowni blisko Górek. Kicha im nawaliła i parę minut po godzinie policyjnej byli jeszcze na szosie. Patrol się trafił . . . Ustawili szofera, profesora, dwie kobiety, jedno dziecko na brzegu rowu, karabin maszynowy przed nimi, trach-trach i po krzyku. A swoją drogą broń, co była w płuczce ukryta, na swoje miejsce dojechała, bo Niemcy sami maszynę do cukrowni odstawili, wcale nie patrząc co w środku". — "Czy profesor wiedział o broni?" Zagrodzki machnął ręką: — "A tam, szkoda gadać!" Zuzia poczuła, jak jej pytanie i odpowiedź Zawodzkiego uderzyły tępo o te warstwy na dnie dwóch świadomości, gdzie spoczywają sprawy cudze, o których pamiętać nie wolno.

Pośpieszyła zmienić temat. — "A gdzie się podziały Wojtaszki?" — "Wszystkich ludzi Niemcy wypędzili z wąwozu. Szosa tamtędy pójdzie, od wtorku burzenie chałup zaczną. Jednego dnia znać dali, drugiego — żywej nogi nie miało tam być! Wojtaszki zabrały dzieciaka, te parę gratów i chodu!" — "To mieli nowe dziecko?" — "A co? Wojtaszek aby dwa miesiące wojował. Jak się zaś wrócił, pierwsza rzecz — dziecko zrobił". — "Dokąd że się udali?" Boćkowski zarechotał grubo. — "Takim wszystko równo gdzie iść. Kajś tam w krzaki poleźli" . . . Te domki były za małe na miłość — przypomniała sobie Zuzia słowa Kiry.

Zmierzchało. Antonina poderwała się. — "No, panienki, jeżeli mamy zajrzeć do domu, to zaraz. Obersta tylko patrzeć".

MARIA KUNCEWICZOWA

Rozdział powieści: "Zmowa nieobecnych".



"PIĄTY ŻYWIOŁ"

I.

Nawet i ciebie, z tęsknotą,
Która graniczy z przesadą,
Wspominam, rodzime błoto,
Chlapiącą czekolado.

Chlapiąca i pralinowa,
Fuchsa czy Piaseckiego,
Na gościńcach nieoficjalnych
Których wierzby, szumiąc, strzegą.

Wierzby, biały kamień drogowy,
I w kopcach fiołkowy granit . . .
Wszystko to dziś tak jest piękne,
Z powodu — smutku bez granic.

II.

Autem jedziesz — tryskają fontanny,
Zdobiąc szybę pastylkami Wedla.
Aż zaryłeś się w czekoladzie
I czekać teraz musisz, w deszczu nieustannym,
Pomocy z najbliższego osiedla!

A jednak, gładkie błoto,
Płynąca czekolado,
Wspominam cię z sentymentem,
Który graniczy z przesadą . . .

III.

Błoto nasze, uprzykrzone, niepotrzebne,
Tło jesiennej, złotolistnej ferii,
Jest jak strumień jakiejś pramaterii,
W której niebo przegląda się srebrne.

W te błyszczące jak polewa odmęty,
Pada z wichrem liść o doli niestałej —
I w deszczu tonie kraj cały,
Jakby miał być na nowo poczęty . . .

CHWASTY MORSKIE

Rozrzucone dokoła
Chwasty o czarnych gruczołach,
Yohamby, algi,
Pełne jodowej nostalgii,
Wzywają powrotu ojczyzny,
Wody morskiej, porostami żyznej,
Wody, która może zagarnąć
Czarną algę, yohambę czarną . . .

Są i inni wygnańcy na plaży
A z nich każdy podobnie marzy . . .
O jakichś przypływach, powrotach,
Dawnego, własnego żywota.

WIERZBA PRZYDROŻNA

Polska wierzba, krzywa, pochylona,
Piorunami trafiana raz po razie,
Ma tysiące gałęzi, zieleńszych od liści,
Prostych, promiennych,
Które biją z jej piersi jak akty strzeliste,
Ku niebu, w ekstazie!
Wielki, wielki mam sentyment dla tej wierzby!
Jak ona wierzy w życie! — I my wierzmy . . .

MARIA PAWLIKOWSKA

OCEAN—PUSTYNIA—DŻUNGLA



LOT WŚRÓD GÓRSKICH SZCZYTÓW

Koniec *runway'u* jest jednocześnie końcem lądu. Jeszcze kręcące się, rozpędzone koła "Liberatora" nie zdążyły wejść do swych gniazd, gdy samolot wychodzi nad oleiste, senne fale Zatoki Perskiej. Kurs: Północ. Północno-wschodni cypel Półwyspu Arabskiego, tuż za Shariah przechodzi w wysokie, skaliste góry, których nagie, spalone słońcem granity wznoszą się na wysokość 11,000 stóp. Ponieważ góry wyrastają stromą ścianą, tuż za lotniskiem, przeciążony paliwem "Liberator" nie zdążyłby nabrać odpowiedniej wysokości w ciągu kilkunastu minut lotu dzielących Shariah od gór. Julek postanawia więc odejść ku północy i ominąć najwyższy szczyt Ormara w paśmie Ras al Kheimah i przejść pomiędzy Khassab i Al Harina.

Jest wczesna godzina i już po kilku minutach lotu, słońce stojące nisko nad horyzontem, niknie za zasłoną spiętrzonych skał łańcucha Ras al Kheimah. Samolot leci równolegle do nagich, wyrastających wprost z morza skalistych urwisk i George może doskonale obserwować, jak słońce stojące nisko za górami, rzuca na oleiste fale Zatoki Perskiej cieniowe sylwetki poszczególnych szczytów: Masua, Harina, Khasab, Ormara.

"Liberator" z każdą minutą lotu nabiera wysokości i gdy mijają cypel Sharitah strzałka wysokościomierza oscyluje około cyfry 8000 stóp. George ujmuje mikro:

—"Julek, steruj 097 stopni, przejdziemy tym wąwozem pomiędzy górami Al Harina i Khasab".

—"Słuchaj, ale żeby nie było niespodzianek, jak wtedy nad Wysokim Atlasem, bo w tym wąwozie mogę już nie zdążyć ani zawrócić, ani nabrać wysokości".

—"*Route book* podaje wysokość przejścia 7500 stóp. Mamy 8000 na wysokościomierzu, czyli naprawdę mamy 8450 stóp nad poziom morza. Steruj te 097 stopni".

—"Roger" — odpowiada Julek.

"Liberator" leci nad wciskającą się w ląd zatoką. Od południa wprost z morza wznoszą się prostopadle, urwiste ściany szczytu Khasab'y. Wznoszą się wprost z morza aż na wysokość 11.000 stóp. Widok raczej groźny, niż piękny. Od północy wznoszą się poszarpane szczyty Al Harina na wysokość 9000 stóp. Środkiem, szeroką na parę mil zatoką, leci na wysokości 8000 stóp, nasz "Liberator". Zatoka zwęża się szybko i ściany wąwozu zbiegają się szybko. Zatoka rozdziela się w kilkanaście odnóg i znika. Tam w dole, zamiast oleistych fal, widać teraz kamienne dno wciśniętej między kamienne skały doliny. Dolina jest jeszcze dość szeroka, aby pomieścić cały klucz "Liberatorów", ale wobec tych prostopadłych, wysokich skalnych ścian, wobec ogromu tych nagich szczytów — dolina wydaje się bardzo wąska i George obserwując, jak końce skrzydeł rysują się po obu bokach na tle skalnych przepaści doświadcza uczucia, które żadną miarą nie jest dalekie od lęku.

Odwraca oczy od gór i patrzy na mapę. Teraz przejdą tylko to łączące szczyty siodło, którego wysokość wynosi 7500 stóp i zaraz potem wyjdą nad inną zatokę, tym razem już zatokę Morza Arabskiego. Dno doliny zaczyna się gwałtownie wznosić. Skaliste progi skaczą ku górze i z każdą minutą lotu zmniejsza się odległość pomiędzy samolotem a najeżonym głazami dnem doliny. Z czasem odległość staje się tak mała, że "Liberator" leci wąwozem nie wyżej, niż 800 stóp ponad jej skalistym, przepaścistym dnem. Wąwóz jest niedostępny, progi, którymi wspina się w górę są prawie prostopadłe i tworzą urwiska wysokie na kilkaset stóp. Przypuszczam, myśli George, że jeszcze nikt, ani spośród białych, ani spośród tubylców nie zawędrował do tego wąwozu. Zresztą i czym by mógł ten wąwóz nagich, nawet mchem nieporosłych skał przyciągać ciekawość ludzi. Nawet ptaki zdają się omijać tę straszliwą czeluść pomiędzy Khasab'em a Al Harina.

Siodło wznosi się jeszcze paroma uskokami ku górze. Wysokość samolotu już nie przekracza 500 stóp. Jeżeli, myśli George, ta zabawa potrwa jeszcze dłużej, to może zabraknąć tych cennych stóp, dzielących samolot od skalistego dna. A wtedy? Julek musi myśleć to samo, gdyż:

—"Kiedy się już ta kiszka skończy?" — pyta.

NAD MORZEM ARABSKIM

Odpowiedź przychodzi sama, w postaci lśniących w promieniach słońca wód zatoki. Siodło między szczytami kończy się urwiskiem, przepaścią spadającą w głąb 7500 stóp aż ku granatowym wodom zatoki. Wąwóz zaczyna się rozszerzać i promienie słońca zaczynają grać w cichych, uśpionych wodach zatoki. W ich czystej, lustrzanej gładzi przeglądają się odbicia wysokich, stromych ścian i barwa ciemnych skał odbija się w granacie wód. Jeszcze kilka minut lotu i samolot wychodzi nad roztańczone w blaskach słońca, opromienione tęczą skośnie padających promieni długie, majestatyczne fale Morza Arabskiego.

—"Julek, miły był ten wąwozik?" — ironizuje George, nabrawszy tupetu na widok morza.

—"Musi być jeszcze milszy, gdy tak z nienacka zajdzie mgłą, w *route-book'u* nawet jest ostrzeżenie na ten miły wypadek" — dodaje wesoło Julek. W kabinie pomimo wczesnej pory dnia jest już gorąco, ale na myśl o możliwości napotkania na mgłę w wąwozie pomiędzy tymi prostopadłymi ścianami przepaści George czuje zimny dreszcz przeszywającego lęku. Jeszcze żadne morze nie wydawało mu się tak miłe i tak bezpieczne, jak te rozsłonecznione wody Morza Arabskiego. Z radości wypija parę kubków kawy i ujmuje za mikro:

—"Julek, morze to jednak cudna rzecz, dawno się tak nie cieszyłem na widok zwykłej wody, jak przed chwilą, po wyjściu z tej, jak Ty mówisz, "kiszki".

—"A mnie najwięcej podobało się morze, właściwie Atlantyk, wiesz, wtedy w marcu, na Bostonie, pomiędzy Labradorem a Grenlandią, gdyś zabłądził i chciałeś mnie prowadzić do Islandii poprzez biegun. Nigdy nie zapomnę tej radości, z jaką powitałem wolne od lodów wody otwartego Atlantyku".

—"Przesadzasz, do bieguna było jeszcze dość daleko, byliśmy tylko nad Ziemią Raffin'a. A co do błądzenia, to już nie moja wina, że zorza polarna oddziaływa ujemnie na namiary radiowe i że nad Labradorem busole wariują".

—"Miło pomyśleć, że w tej chwili, gdy my tu spływamy potem, nasi koledzy dzwonią zębami pomiędzy Labradorem a Grenlandią".

"GÓRY NIEZBADANE" I — LUDZKIE OSIEDLE

Trasa lotu biegnie wzdłuż brzegu. W miarę posuwania się ku wschodowi, linia brzegu opada ku południowi i po godzinie lotu samolot znów przekracza linię brzegu, na wschód od półwyspu Jask.

Na północy wznosi się wysokie pasmo gór Bashagirdskich, których najwyższe szczyty, nawet w tym ciepłym klimacie są jeszcze przystrojone w białe korony wiecznych śniegów. Sam brzeg jest równą, piaszczystą plażą, która ścieli się szerokim na kilka mil pasem, pomiędzy jasnym, słonecznym morzem, a żółtawymi, nagimi stokami gór. Brzeg jest pusty. Ani śladu roślinności, ani najlichszego śladu życia. Czasem, bardzo rzadko, w odstępach co kilkanaście mil, widać przykucnięte na piaszczystym brzegu niskie domy wsi rybackich. Gliniane domy na piaszczystym brzegu, kilka łodzi wyciągniętych na ozłoconą słońcem plażę — ot i wszystko. Czy mieszkańcy tych chat jedzą cokolwiek innego, oprócz tego, czego dostarczy im morze? Żadne drogi nie wiodą do tych kilkunastu rybackich osiedli pomiędzy półwyspem Jask a Gwadar'em.

Brzeg odchodzi coraz bardziej ku południowi i samolot leci nad górami. Wstęga jasnego morza jest już słabo tylko widoczna w odległości 50 — 60 mil. Samolot leci nad nagimi, spalonymi słońcem stokami wysokich, skalistych gór. Co pewien czas głębokie wąwozy, koryta wyschłych rzek, przecinają góry, i głębokimi — prostopadłymi do trasy lotu — kanionami odchodzą na południe, ku morzu. Te kolejne wąwozy: Kahir, Dasht, Khimt, są najlepszymi — i jednocześnie jedynymi — punktami orientacyjnymi. Mapa oprócz zaznaczenia tych wąwozów, ogranicza się do nieobowiązującej informacji: *unsurveyed mount's* /góry niezbadane/. Na jednej z takich gór, której nagie, niepokryte żadną roślinnością ściany wznoszą się prawie prostopadle na kilka tysięcy stóp ponad poziom morza, George odkrywa, przylepione do jednego z urwisk skupisko kamiennych chat.

Samolot leci na wysokości 9000 stóp i chaty są nie niżej niż 1000 stóp pod samolotem. Ten samotny, górski ulus zaciekawia całą załogę i *skipper* daje się namówić do wykonania paru okrążeń nad dziwnym osiedlem. Cała załoga stara się odkryć źródła życia osiedla. Ale na próżno wypatruje najlichszego nawet pólka, najmniejszego choćby stada baranów. Jedyne odkrycie stanowi wąska struga wody, grająca w słońcu, wijąca się przy osiedlu i spadająca wąską kaskadą w otchłań niezgłębionej przepaści. Osada ma wodę. Ale z czego żyje? Jedna więcej zagadka tajemniczych pustaci Baluchistan'u.

Jeszcze kilka takich górskich, niedostępnych, samotnych osiedli, których mieszkańcy żyją wśród pustynnych, nagich, skalistych gór w sposób niedający się wytłumaczyć. Bo przecież nad wszystkimi innymi górami świata, gdy tylko widzi się osadę, najlichsze bodaj ślady ludzkiego bytu, widzi się jednocześnie pasące się stada bydła, owiec, baranów, widzi się roślinność, widzi się źródło życia. W górach Baluchistan'u widzi się rzadko rozrzucone, odległe od siebie o kilkadziesiąt mil osady, ale źródła życia tych osad są ukryte przed oczyma przelatujących nad osadami załóg.

ZWARIOWANA RZEKA I WYSPA WŚRÓD OCEANU

Za Gwadar'em, rzeka /bez nazwy/ przebija się przez wysokie pasmo gór i płynie równolegle do pasma, ale po jego północnej, wyższej stronie. George jest tak zaciekawiony losem tej zwariowanej rzeki, co zamiast skręcić ku morzu, na południe, wolała się przebić przez góry, ku północy, że podaje Julkowi /zupełnie niepotrzebną, z punktu widzenia nawigacyjnego/ poprawkę kursu, bardziej ku północy, byle tylko śledzić los szalonej rzeki. Za pasmem gór rozciąga się pustynny płaskowyż Kalat'u i zwariowana rzeka niknie, przechodzi w wyschły, suchy wąwóz, w nagie białe łożysko. Słońce Kalat'u położyło kres szalonej rzece, która zamiast ku morzu wolała iść ku pustyni.

Ponowna poprawka kursu i samolot skręca ku wschodowi. Linia brzegu osiągnąwszy swój najbardziej południowy cypel około Malan'u, odgina się teraz ku północy i każda minuta lotu zbliża teraz samolot ku brzegom Oceanu Indyjskiego. Brzegi lądu są wciąż pustynne, tylko stają się mniej wysokie, opadają gwałtownie i miejsce gór zajmują wzgórza o nagich, skalistych krawędziach, opadających ku rozsłonecznionym falom w prostych, równych, jakby ludzką ręką wykutych progach.

O kilka mil od brzegu wznosi się podłużna, sterczącą z Oceanu góra, o wysokich białych, urwistych brzegach: wyspa Astola. Rozkołysane na bezkresnych pustaciach Indyjskiego Oceanu fale, biją nieustannym przybojem w południową krawędź wyspy. Trwająca wieki praca fal wypolerowała urwiste brzegi wyspy, wygładziła ich chropowatą powierzchnię w lustrzaną wprost gładź, w której bieli grają promienie słońca. Wschodnia część wyspy jest pokryta roślinnością, widać nawet nieliczne drzewa. Są to pierwsze drzewa, które załoga widzi od dorzecza Eufratu, pierwsze drzewa po przeleceniu setek mil nad pustynią, morzem i pustynnymi górami. Wyspa podbija serca załogi. W *inter-com* słychać głos Tadka:

—"Przyjechałbym tu, na tę wyspę na urlop, gdyby z Montreal'u nie było tak piekielnie daleko. Można by się cudownie kąpać i przy brzegach północnych musi być zatrzęsienie ryb. Potem chodziłbym wśród tych drzew na popołudniową przechadzkę. Święte życie można by mieć na takiej wyspie".

Ale George jest bardziej rzeczowy:

—"Sprzykrzyło by ci się samemu. Kogo byś tu uwodził? To nie Bahamskie wyspy, Senegalek tu nie ma". /Na Bahamach Tadek podbił serce senegalskiej murzynki i załoga to pamięta./

—"Są domy, to muszą być i ludzie, ja wcale nie żądam, żeby koniecznie była Senegalka, może być Hinduska, Arabka, od biedy nawet biała".

RAJ, NA KTÓRYM NIE WOLNO LĄDOWAĆ

Samolot przelatuje nad wyspą. Tadek miał rację. W zaciszu wschodnich, łagodniej ku morzu opadających stoków, widać białe domki rybackiej osady. Widać zielone sady i łąki. Na dźwięk motorów zrywa się stado białych kóz i mknie po szmaragdowej zieleni łąki. Wyspa Astola, tak ponura i niegościnna od strony zachodniej, w swej południowo-wschodniej części wygląda wesoło i go-

* Por. poprzednie części w nr. 38, 43 i 48 "Polski Walczącej" z b.r.

BLACK-OUT

Noc jest na kontynencie.

Całun ogromnej czerni
rozpięty nad Europą.

Zapadło za nami wieko,
jak śmierci cios i zaklęcie.

Mrok płonie krwią i ropą,
tocząc u spodu gwałt.

Nieszczęśni, najlepsi, wierni
czekają i nienawidzą,
jak ślepcy patrzą, nie widzą,
jak ślepcy — długo, daleko:
black-out.

Ląd będzie teraz żył
dudnieniem czarnego obszaru.

Wyprute z równin i brył
czerwone są szarfy pożaru,
czerwone pękanie strun,
haft poszarpanej harfy,
widzenia wewnętrzne widmo —
i gwizd, wwiercony w mózg igłą,
odkąd widziany przez śmigło
świat wstaje wyciem — i wydmą
rosnących z przepaści łun.

Reflektory wymiotły niebo z gwiazd.

Błędne ogniki pocisków
świstem nieskończoności
z nad płaczących syrenami miast
rysują sygnały piekła.

Krepa stolice powlekła.

Kosmiczne jest łkanie ziemi
tłuczonej tonnami bomb.
Noc szyta światłem poświstów,
jak tysiącem płonących szydeł
śpiew śmierci niesie.
I oto
dzieło skrzydlatych straszydeł,
ryk jerychońskich trąb —
i rakiety, szukające mety
i komety, pozbawione sterów —
a pod ziemią nie ludzie, a krety,
dygocące serca i szkielety,
zatrwożone, stworzone nie po to,
przyjmujące wyrok: ząb za ząb,
niby życia jedyne motto.

Oczodołami kraterów
i eksplozjami wulkanu
ziemia patrzy w niebo obłąkane,
niebo — kiedyś ojczyznę aniołów,
a dzisiaj, nad obszarami
dymu i mgieł i popiołów,
jak strop urny upiornej i trumny,
gdy niesiona przez świetlne kolumny
przygniata pierś, niczym ołów.

Orła u ramion ma pilot,
czarna jest ziemi źrenica,
patrząca w skupieniu głuchem —
aż ją otworzy na wylot
wybuchem.

Mapę ziemi huśtają zrywy
maszyn, pełnych podniebnego pędu —
w słuchawkach gwiżdże lęk,
ton ma fletu, cienki i fałszywy,
skronie ściska. Krwią by w uszach pękł.

Oczom — zimna optyka obłędu.
Sercu — rytmy synkop wyją swingiem
w stu silnikach.
Szaleństwo bez błędu
tętent wzmaga i tętno tempa.

Cała ziemia będzie odtąd ringiem
dla rosnących w chmury bohaterów
choćby mieli skrzydlaty kształt,
do jastrzębia podobny, czy sępa.

Nałożyli rękawice u sterów
i bić będą — bombami.
To szarża,
atak ptaków, chyży chrzęst husarii,
co grzmi nocą po syreniej arii —
szturm pod niebo rzuconych bokserów
jednym tonem mści się i oskarża.
Sieje gęsto zabójcze swe ziarno
na Europę już od lęku czarną,
zbuntowaną, wrogą i niekarną
aż po zwycięski knock-out.

Oto ich nocny lot,
powietrznych, podniebnych armad,
jak kiedyś płynęła armada
srebrna i biała przez morza,
tak teraz ciągnie w przestworza,
wznosi się i opada,
przy głuchym bębnieniu armat,
najpotężniejsza z niebieskich
flot.

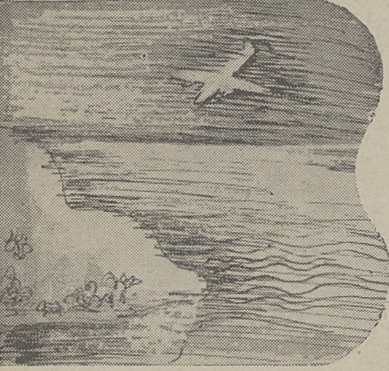
Nieba gwiaździste nity
trzeszczą.
Czy pryśnie mrok,
gdy się dokona zagłada?

Ziemia w odmęt bezdenny zapada.
pożogą świat jest podbity,
cierniem przebity ma bok,
przedziurawione wnętrzności,
głowę zgniecioną obuchem,
a jeszcze szuka wolności,
zatajonym, podziemnym ruchem
krwi i bólu naszego i kości.

Cz. IV.: Pustynia Baluchistanu

ścinnie. Wśród bezmiaru wód Oceanu Indyjskiego, wyspa, a raczej wschodni jej cypel, wygląda jak miniaturowa zabawka, jak cacko utoczone z kolorowej, jasnej porcelany. Złocisty piasek plaży. Potem soczysty szmaragd łąk. Białe, lśniące od bieli domki — znów żywa, ciemno-zielona, puszysta wstęga sadów i nad sadami znów biel skalistych zboczy. To wszystko w ujęciu grających w promieniach słońca, roztańczonych od tysiąca jasnych skier, strojnych w śnieżyste grzywy pian — fal Oceanu.

Gdyby tak ktoś namalował tę wyspę Astola — z tym całym bogactwem zdecydowanych, krańcowo różnych barw, barw przechodzących jedna w drugą, bez naj-



mniejszego półtonu, bez żadnego złagodzenia, krytycy powiedzieli by zapewne, że nie ma pojęcia o kolorach i że nic takiego istnieć nie może. Ale na przekór oczywistości, z rozsłonecznionych fal Indyjskiego Oceanu wyrasta jak egzotyczny, kolorowy kwiat wyspa Astola.

Może — myśli George — pragnienie Tadka, by spędzić kilka dni na wyspie Astola, nie jest tak szalone, jakby się to mogło wydawać. W każdym razie, jest na pewno niewykonalne. Załogi transportujące samoloty, mogą tylko przelatywać nad cudami świata, mogą tylko mijać wyśnione wyspy szczęścia. Zatrzymywać się na nich nie mogą. Ich postoje są ściśle uregulowane i ograniczone do wielkich, lotniczych karawan-seraji, które są prawie takie same w Kanadzie, na Grenlandii, w Holenderskiej Gujanie, na Labradorze, Habbaniyi czy Manipurze. Na wyśnione wyspy szczęścia wolno nam tylko spoglądać z samolotów lecących z szybkością 185 mil na godzinę.

NA PROGU INDII I ZAGADKI

Wyspa Astola rozpływa się w rozsłonecznionej dali. Linia brzegu, która dotąd odginała się ku północy, teraz powraca, ku lecącemu swym niezmiennym, stałym kursem, samolotowi. Tym razem powraca już jako płaska linia niskiego brzegu. Skończył się płaskowyż Baluchistanu, zaczyna się nizinny Sind. Wielkie pół-pustynne obszary na zachód od delty Indusu, przedpokój właściwych Indii . . . Sind. Nagie, porosłe ubogą roślinnością niskie, obłe pagórki ciągną się równolegle do kursu samolotu.

Przed samolotem, na kursie, bieleją formujące się cumulusy. Zachmurzenie wzrasta z każdą dalszą minutą lotu. Cichnie równa, jednostajna gra motorów. Julek przymknął gaz i schodzi pod pułap niskich chmur. Delta Indusu jest prawie zawsze w chmurach i o tej porze roku padają tu częste deszcze.

Brzeg zagina się gwałtownie ku południowi i wychodzi na spotkanie. Samolot leci teraz nad niskimi, piaszczystymi diunami na wysokości 1800 stóp, pod nisko nawisłymi zasłonami białych obłoków. W prawo, gdzie piaszczyste wydmy przechodzą w nizinne mokradła, błyszczą niezliczone odnogi delty Indus'u. Zawiła krętanina rzeczułek, kanalików, wysp, odnóg i zatok. Bardziej w głąb lądu, na północ od delty, na żółtych, piaszczystych diunach rozpostarł się wielki, wstrętny liszaj zgniłozielonego koloru. To Karachi. Jeszcze bardziej ku północy, w odległości kilkunastu mil od zielonoszarej plamy liszaja rozciągają się proste, stanowcze linie czarnych, asfaltowanych *runway'ów*. Za nimi bielą się równe, zwarte, konsekwentne zarysy portowych budynków.

I ten widok jest jakby symbolem wszystkiego, co można na wschód od tego punktu zobaczyć. Biali wnoszą ze sobą prostotę, surowość, celowość i ład swych konstrukcji. Kraj jest olbrzymi, niezmierzony, kryjący w sobie wszystkie DOBRE i ZŁE możliwości. Miasta, przeludnione, cuchnące, zgiełkliwe — są jak wielkie narośle przeżerające zdrowie indyjskiej ziemi. Patrząc na "przedpokój Indii" Karachi, nie można się oprzeć temu wrażeniu. Mimowoli nasuwa się pytanie: czy kraj ten pokryją proste, celowe dzieła wzniesione ręką białego, czy też pokryją go liszaje smrodliwych, hałaśliwych miast wschodu. Tych leniwych, sennych, apatycznych miast, gdzie po ulicach snują się tłumy spragnionych chleba ludzi i pokornie ustępują z drogi przed uświęconymi krowami i przed lektykami nielicznych, żyjących na ich nędzy bogaczy.

Indie są zagadką. Karachi jest tylko progiem Indii, ale już na progu przybywający staje wobec narzucającej mu się na każdym kroku zagadki. Rozwiązanie???

ROZMOWA W INDIACH

George usłyszał odpowiedź, gdy po obiedzie siedział na tarasie "Luxor Hotel'u" w towarzystwie pułkownika Gordon'a. Z zapałem nowo-przybywającego, postawił sprawę Indii już po dziesięciu minutach rozmowy. Pułkownik Gordon otrząsnął starannie popiół z końca papierosa. Pociągnął parę łyków złocistej whisky i powiedział:

—"Jestem już trzecim z rodu Gordonów, którzy służą Królowi, dźwigając tu, w Indiach, "ciężar białego człowieka". Zwalczyliśmy wiele straszliwych chorób, które dziesiątkowały ludność Indii. Podnosimy zwolna, bardzo zwolna /my, Anglicy niczego nie robimy szybko/ dobrobyt hinduskiego chłopa. Uczymy go, jak uprawiać rolę, jak podnieść jej wydajność i tym samym standard własnego życia. Utrzymujemy spokój w kraju, którego ludność równa się ludności Europy i który mówi 50 językami i wyznaje 7 religii. Spędziłem w Indiach 37 lat swego życia, mój ojciec spędził 49 lat, mój dziad 43 lata. Ale dla mnie Indie są wciąż zagadką. Nierozwiązalną zagadką".

W następnej chwili pułkownik Gordon uniósł głowę. W jego oczach zamigotał wesoły, figlarny płomyk:

—"Ale niech się Pan zwróci do któregoś z tych podróżników-reporterów, co jak Ewa Curie, opuszczają Indie po dwudniowym pobycie. Oni Panu na pewno wyjaśnią zagadkę Indii. Są tacy, co poznali Indie w czasie tygodniowego pobytu".

Pułkownik skończył i skinieniem przyzwał przechodzącego przez taras kelnera. W milczeniu wskazał mu puste szklanki. Gdy kelner celebrował rytuał nalewania złotego płynu, wkładania lodu do wysokich szklanek, George śledził spod oka jego ciemną twarz. Twarz typowego hinduskiego górala Sikh'a. Ukończywszy obrządek wkładania lodu, kelner ujął butelkę ginger-alu i spojrzał pytająco na George'a. Oczy ich spotkały się. Spod wysokiego błękitno-czerwonego turbanu patrzyła para czarnych źrenic ujętych w oprawę fosforyzującej bieli białka. Oczy były nieprzeniknione. Pod ich tajemniczy wyraz można było podłożyć wszystko. I "wierność soli" — i lojalność — i nienawiść — i bierny opór — wszystko. Wszystko — i nic.

Pułkownik Gordon zauważył to przydługie wpatrywanie się George'a w oczy Hindusa. Usta pułkownika rozchyliły się w cichym uśmiechu. Poczekał aż czerwono-błękitny turban odpłynął majestatycznie w drugi koniec tarasu i pochylił się ku George'owi:

—"Niech Pan się nie wpatruje w oczy tubylców. Po pierwsze oni tego bardzo nie lubią, po drugie: nic nigdy Pan nie wyczyta z oczu Hindusa. Hindusi są najuczciwszymi i najlojalniejszymi ludźmi. Są zawsze "wierni soli", za którą służą. Ale nie wolno wdzierać się w tajemniczy świat ich życia osobistego. Prawdy Pan nigdy nie zbada — a za to, że Pan zmusi Hindusa do kłamstwa, znienawidzi Pana. Zanim Pan zada pierwsze pytanie, niech Pan najpierw, co najmniej przez parę lat obserwuje Indie w milczeniu. Ja to czynię już od 37 lat. *Cheerio*!"

W milczeniu sączyli złocisty trunek z wysokich szklanek. W dole, poniżej tarasu, rozbłysły długie, nieskończone paciorki ulicznych latarń. Od miasta niósł się szum gwarnych bazarów. Nadchodząca noc spowijała tajemnicą ciemności to tajemnicze miasto tajemniczego, nieznanego świata. George myślał z przykrością, że nie będzie mu dane posłuchać mądrej rady starego pułkownika, gdyż za parę dni opuści ten tajemniczy świat.

* * *

Drodzy Koledzy!

Użyłem słowa: "Koledzy", bo większość czytelników "Polski Walczącej", to tak samo jak i ja — żołnierze. W Indiach oprócz egzotycznych maharadżów i słoni — jest jeszcze jedna rzecz, o której pragnę Wam powiedzieć. Rzecz, która nas bardziej dotyczy i obchodzi, niż białe słonie, palenie wdów, małżeństwa dzieci i tańce bajader.

W Indiach są jeszcze POLSKIE DZIECI.

Zamierzałem napisać o tym specjalne opowiadanie, ale obrazy były zbyt pełne tragedii, łez, bezsilnej pasji i głuchej żądzy pomsty, bym miał nimi szarpać Wasze żołnierskie nerwy. W naszym zawodzie zdrowe nerwy są również potrzebne, jak zdrowe płuca, serce, oczy i zęby. Opuszczam więc opis POLSKICH DZIECI w Indiach.

Wiem, wszystko jest kwestią dystansu. Gdyby do Waszego namiotu, Waszej messy, czy Waszego marynarskiego "kubryku" weszło takie dziecko — oczywiście oddalibyście mu wszystko co posiadacie, rezygnując z urlopu, z Londynu, z zejścia na ląd. Potem jeszcze przez niejedną noc ścigałoby Was widmo dziecka o "małpiej twarzy". /"Małpia twarz" — termin medyczny, którym doktorzy określają stan, w jakim zwiotczałe z głodu mięśnie nie mają już siły podtrzymać rysów twarzy i cała twarz opadając ku dołowi, czyni dziecko podobnym do małpy. Darujcie mi to okrutne wyjaśnienie, ale wierzcie mi, że najokrutniejsze zachowałem dla siebie.

Wiem, że pomoglibyście takiemu dziecku, gdyby się zjawiło w Waszym namiocie, messie, lub "kubryku". I nawet nie trzeba by Was nawoływać do składki, których i tak macie zbyt wiele. Ale DZIECI POLSKIE w Indiach są oddalone od Was, Koledzy o 7000 mil. I ta odległość zabija zainteresowanie tymi Dziećmi.

Koledzy. Niektóre z tych dzieci umierają /i umrą/ tylko dlatego, że wprost utraciły już zainteresowanie życiem. Nie mają nikogo, dla kogo by miały żyć. Niektóre z nich są szczęśliwsze i odnalazły kogoś bliskiego. Trzeba to widzieć jak piastują każdy otrzymany drobiazg, każdy otrzymany list czy kartkę. Każdy znak, że gdzieś, tam, daleko na świecie, poza tysiącami mil, jest ktoś, do kogo kiedyś będą mogły pójść. Ale są dzieci, które znają tylko jedną odpowiedź na najświętsze w każdym języku słowa: matka, ojciec — okrutną odpowiedź, tym okrutniejszą, jeśli wypowiadają ją usta małego, nieodrosłego od ziemi berbecia: "umarła z głodu", "umarł z głodu".

Koledzy! Nie jestem "społecznikiem" i nie wiem jaką formę mogłoby przybrać Wasze zainteresowanie się Polskimi Dziećmi w Indiach. Adoptacja przez oddziały — zbiórka pieniężna — wysyłka paczek. Nie wiem. Niech to rozstrzygną bardziej doświadczeni i uspołecznieni spośród naszego grona. Ja tylko czuję się w obowiązku, powiedzieć Wam Koledzy, że DZIECI POLSKIE w Indiach potrzebują pomocy. WY możecie im tej pomocy udzielić!

BOLESŁAW POMIAN

szkic poematu

II.

Akordami morderczych sonat
wyrzutniki niech grają bombowe.

Spod ziemi naszej i sponad
zaczynają się czasy nowe.

Napinali cięciwę jak ścięgno
na granicach, na łukach obrony,
zagrożonych dotąd z każdej strony,
nim serc ludzkich i sumień dosięgną.

Krzyczy krzywdy uparte crescendo
woła prawo — choć głos jego inny.
Pokolenia pytać się będą
kto winny?

W niepamięci stracili nić wątku —
w zapomnieniu ginie myśl, co wiodła —
nie zaprzemy się naszego godła.
Jest!
I ono było na początku.

III.

Polsko, kraju cofnięty pod ziemię,
w noc bez świateł. Odkąd wstrząsem świata
przewalają się nad tobą lata,
pomnażając nielitosne brzemię,
odkąd dzieje twojego oporu
przez mrok pełzną wołaniem bez głosu,
trzymające się jednego toru,
jednej linii, legendy i losu,
noc — co rosła rachunkiem rozpaczy,
która życie zaplotła nam w kiry,
i kurtyną na słońce upadła,
grottgerowskie zbudziwszy upiory
wojsk podziemnych widma i widziadła
co dziś chodzą przez krwawe ugory
tamtych ziem i tamtego istnienia —

ta noc czarna, black-out przeznaczenia
apostołów dosięgnie przemocy
i koszulą przylgnie Dejaniry
do pijanych okrucieństwem plemion,
które pierwsze skoczyły do strzemion,
by jak jeźdźcy apokaliptyczni,
puszczający wojnie wędzidła,
jak zaraza, jak szarańcza liczni
upaść na nas wyrokiem zniszczenia.

Runął gęsto owad potępieńczy,
nienawistne, nieludzkie nasienie,
godła swoje niewinną krwią wieńczy,
czarne znaki położył na skrzydła
i poraził narkozą przerażeń —
klęska kosę zarzuca do ciosu,
świat wstrząsnęła grozą wielkich zdarzeń:
i już nikt nie odwróci losu.

* * *

Z archanielskiego gniewu,
z ludzkiej męki ostatniej,
zamienionej w upiory i cienie,
z milczenia, modlitwy, śpiewu
z grobów i ze serc spisku,
ukrytego na samym dnie matni —
narodzili się jednak mściciele!

Kraju skrzywdzony! Ziemio!
Ojczyzno! Wy, przyjaciele
na każdym pobojowisku,
gdzie śmierć posłanie wam ściele
i kędy przyszłością drzemią
wasze wiosny, zdeptane jak róże
w żużlach ruin i klęski popiele —

Oto lecą, słuchajcie! z powrotem
niosący na skrzydłach burzę —
i idą — tysiącem dróg!
I każdego śmigła obrotem
roztrącają ciemność jak pług . . .

Aż gdy klucze warczących żórawi,
zakołyszą się znów nad strzechami,
nad miastami — czy klęskę odmienią?

I czy ojczyznę wrócą złotej rui pszczół
oraz wiernej pracy dobrych ludzi,
zakochanych w pokoju głęboko —
by horyzont, przecięty na pół,
co dziś jeszcze ocieka posoką

rozpiąć jak nowy łuk
ludzkich, szlachetnych przymierzy,
w które może nareszcie uwierzy
miłujący, sprawiedliwy Bóg?

ALEKSANDER JANTA

rysowała JANINA KONARSKA





1

POLACY W ITALII, NA BLISKIM WSCHODZIE, W AFRYCE WSCHODNIEJ, W INDIACH I BURMIE

rysunki ***FELIKSA TOPOLSKIEGO***



9



2



3



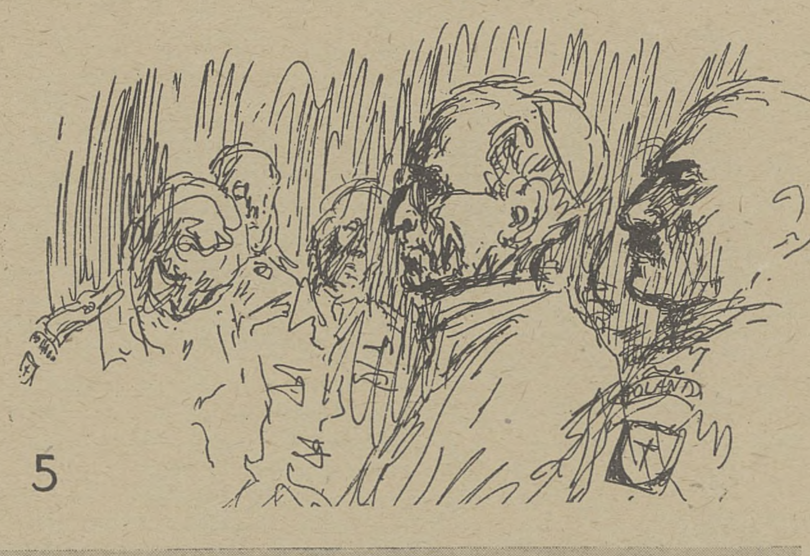
10



11



4



5



12



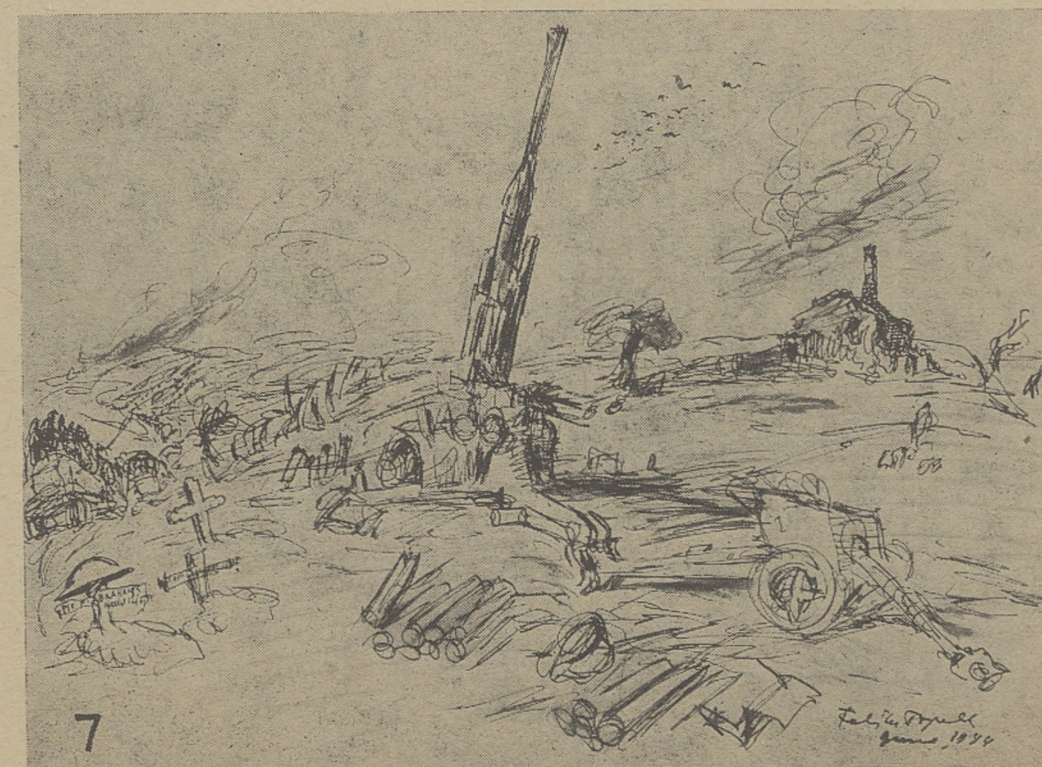
13



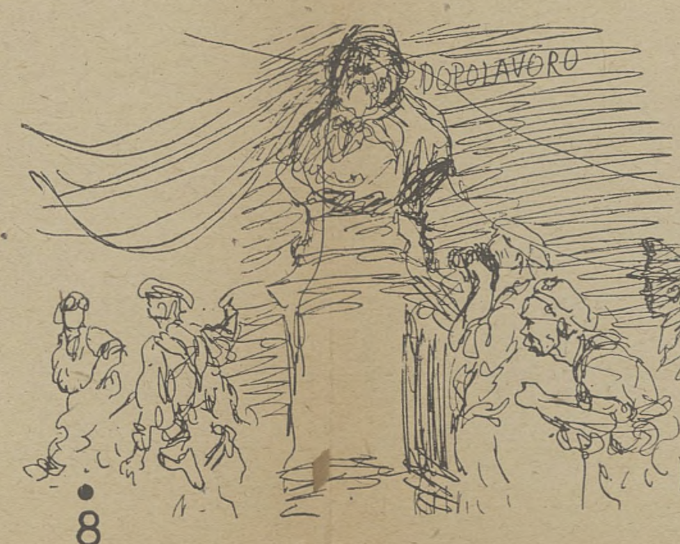
14



6



7



8



15



16

1. Czołg polski na rozpoznaniu w miasteczku nad Adriatykiem; 2. Entuzjastyczne powitanie Polaków w Formo; 3. Żołnierze niemieccy wzięci do niewoli przez Polaków pod Loreto; 4. Pułkownik Z., dawny komendant Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii w Włodzimierzu Wołyńskim, prowadzi ogień artylerii dywizyjnej w bitwie pod Loreto; 5. Gen. Anders na audiencji u Papieża; 6. Ułan Karpacki; 7. Pobojowisko; 8. Pomnik Garibaldiego podpiera sieć telefoniczną; 9. "Junak" w Domu Zdrowia w Tyberiadzie, w Palestynie; 10. "Junaczki" w Nazarecie; 11. "Junacy" w szkole łączności pod Piramidami; 12. Kierownik osiedla Tengeru p. Mądrzak, były burmistrz Przemyśla; 13. Miasteczko egipskie w pobliżu Quassasińskich obozów II-ego Korpusu; 14. W osiedlu Kolhapur, w Indiach; 15. Kampania w Burmie — z prawej polski oficer "West African Army". 16. Warsztat szewski w osiedlu Koja nad jeziorem Victoria w Ugandzie.

O żołnierzach Dywizji Pancernej



Gen. Eisenhower z żołnierzem Dywizji

—O co my się właściwie bijemy? — zapytał kapral porucznika i celnym strzałem z działka zapalił czołg niemiecki.

To dość popularne w Dywizji powiedzenie, stanowi doskonałą odpowiedź dla tych wszystkich Londyńczyków, którzy przyjeżdżających z Holandii zasypują pytaniami o tak zwane "nastroje".

Dywizja jest dziwnym wojskiem. Dziwnym i ciekawym, daleko odbiegającym swym charakterem od formacyj znanych nam z Polski czy Francji, całkowicie odrębnym od szablonu *British Army of Liberation*, której stanowi część składową — wojskiem, które sprawiło już wiele niespodzianek.

Przybycie Dywizji do Normandii i przydzielenie jej do Armii Kanadyjskiej, poprzedzone było chwalebną legendą, jaką Polacy cieszyli się wśród Kanadyjczyków. Ci, którzy pamiętają plotki, jakie w czasie ćwiczeń w Newmarket latem ubiegłego roku krążyły po Londynie i o których uszy obijały się opowiadania o "braku zdolności organizacyjnych", o "braku umiejętności sztabowych" i "całkowitej kompromitacji" — powinni byli posłuchać, z jakim szacunkiem mówili oficerowie kanadyjscy o swych zwycięskich przeciwnikach z manewrów w Anglii, i to jeszcze przed wejściem Dywizji do akcji.

Ogólna jednak opinia głosiła, że z Polakami będzie sporo kłopotu. Powsiadają na czołgi i jak ruszą, to nie sposób ich będzie zatrzymać. Toteż gdy zaraz na wstępie okazało się, że dowództwo polskie nie kwapi się atakować batalionem najeżonego "Panterami" lasku — zapanowało lekkie osłupienie. Dopiero gdy o ten lasek sąsiednia dywizja dobrze sobie wyszczerbiła zęby, gdy dla zlikwidowania ukrytych w nim Niemców trzeba było użyć potężnych formacyj lotniczych — uwierzono ostatecznie, że Polacy potrafią nie tylko strzelać, ale i myśleć. Potwierdziła tę opinię raz na zawsze bitwa pod Chambois, w której trafny wybór miejsca najodpowiedniejszego dla likwidowania wysuwających się z "worka" Niemców, doskonała ocena sytuacji i, jak się później okazało, niezwykła ścisłość meldunków polskich — wzbudziły powszechny szacunek i uznanie.

"KRWIOŻERCZY POLACY"

Nowoczesne określenie dobrego żołnierza daleko odbiega od romantycznych pojęć, w których wychowywaliśmy się w Polsce. Oszalały ogniem walki dzikus, który niepomny na niebezpieczeństwa biegnie naprzód z nożem w zębach, jest też swego rodzaju dobrym żołnierzem. Od żołnierza dywizji pancernej wymaga się jednak prócz osobistego męstwa i odwagi, szeregu innych walorów, jak inteligencji, wiedzy technicznej, zimnej krwi, rozwagi, umiejętności oceny sytuacji, karności zmieszanej z inicjatywą własną i t.p.

W pierwszych tygodniach pobytu w Normandii trudno się było oprzeć wrażeniu, że ogólna opinia o żołnierzu polskim przechylała się raczej do tego wyobrażenia "noża w zębach". I tu znowu Dywizja sprawiła niespodziankę. Będąc narodem łagodnych baranków, nie wiadomo poco wyrobiliśmy sobie opinię krwiożerczych dzikusów. Ci sami żołnierze, którzy w Szkocji, wodząc znaczącym ruchem ręki po gardle i błyskając białkami, szeptali owo straszne *"German caput"* — rzucają cukierki i papierosy zdychającym z głodu jeńcom niemieckim.

Zebraliśmy tych jeńców już kilkanaście tysięcy. Nie przeszkadzało to jednak temu, że w B.L.A. przez dłuższy czas utrzymywał się następujący dowcip:

—Sensacyjna wiadomość! Czy wiecie, co się stało?

—Co takiego?

—Polacy wzięli do niewoli pierwszego jeńca!

Miało to niby znaczyć, że wszyscy poprzedni zostali pomordowani.

Ta pewna łagodność wypływa ze szlachetnej rycerskości, której bynajmniej nie należy się wstydzić. Nie zapomnę przypadkowej rozmowy, jaką w pierwszym dniu wejścia Dywizji do akcji odbyłem z pewnym kapralem-czołgistą. Dywizja minęła właśnie Caen i żołnierze mieli po raz pierwszy okazję ocenić rozmiary dokonanego tam zniszczenia. Wrażenie było kolosalne i rozmówca mój był wyraźnie wzburzony.

—To jest wojna, panie poruczniku? — mówił w podnieceniu. — Granda, nie wojna. Obsypią wszystko bombami, zburzą, zniszczą, spalą, a potem na czołgach przejadą się po gruzach . . .

Oczywiście, że mój znajomy kapral już kilka dni później zrozumiał i ocenił niezbędność bombardowań lotniczych i artyleryjskiego przygotowania. Tym niemniej ta pierwsza reakcja, w której ładnym tonem brzmiała nuta tradycji bardziej romantycznych wojen — jest niezwykle charakterystyczna.

Stosunek do ludności cywilnej jest innym przykładem żołnierskiego serca. Dzielenie się racjami żywnościowymi z wygłodniałą ludnością jest w Dywizji zjawiskiem powszechnym. Powracający do ruin swych domostw mieszkańcy wiosek gęsto rozsianych na szlaku Caen — Falaise, doznali od polskich żołnierzy wielu wzruszających objawów pomocy. Dużo zawdzięcza im również polska ludność nieszczęsnego Pontigny. Te żołnierskie serca nie zdołały stwardnieć w ciągu kilku krwawych miesięcy wojny.

Tak samo jak w Normandii, zachowują się Polacy w miastach i wsiach holenderskich.

MĘSTWO UJĘTE W KARBY

Tej pewnej łagodności — jeśli już użyliśmy tego określenia — nie należy jednak bynajmniej źle rozumieć. Nienawiść do Niemców, poczucie doznanej krzywdy i prawa odwetu — stanowią potężny bodziec w działaniach żołnierzy Dywizji. Dywizja jest jednak nowoczesną, świetnie zorganizowaną maszyną, w której nie ma miejsca na jednostkowe wyskoki. Sprawność działania tej maszyny jest zdumiewająca. Efekt pracy — straszliwy. Zorganizowane męstwo, ujęte w karby systemu, indywidualna odwaga, zdyscyplinowana ofiarność — wszystko to razem daje imponujące wyniki, z których Polacy będą zawsze dumni, wyniki, zyskujące Dywizji niezwykle dobre imię, oraz olbrzymi szacunek u towarzyszy broni i uznanie u wroga, jak świadczą kilkakrotnie przejęte rozkazy dowódców niemieckich.

Trzeba było widzieć Chambois, by ocenić jak sprawnie, jak gruntownie i dokładnie działa ta nowoczesna maszyna. Owo pełne najwyższego uznania *"Bloody Poles"* rzucane przez żołnierzy kanadyjskiej dywizji, mijających pobojowiska pod Chambois, posiada głębszą wymowę, niż najpochlebniejsze rozkazy. A takich Chambois, mniejszych, ale równie krwawych, było sporo w Belgii i Holandii.

Pierwsza Dywizja jest w historii wojska polskiego zjawiskiem całkowicie nowym. Czymś bez poprzedników i niemożliwym do porównania. Nie chodzi tu oczywiście o te bezsensowne przechwałki, że Dywizja potrafi zużyć w jednej bitwie więcej pocisków artyleryjskich, niż wystrzelono w całej Kampanii Wrześniowej, czy też że posiada więcej aparatów radiowych, niż cała Armia Polska przed Wrześniem. Są to bezmyślne argumenty, imponujące bezmyślnym ludziom.

Zdumiewający jest natomiast niezwykle wysoki poziom umysłowy tego wojska, jego inteligencja, wyrobienie, dojrzałość.

WOJSKO BEZDOMNE

Żołnierz polski w Holandii stanowić może ciekawy przedmiot psychologicznych dociekań. Dlatego też nie jest bynajmniej rzeczą łatwą odpowiedzieć na te natarczywe pytania o "nastroje", o których wspomnieliśmy na wstępie.

Trzeba tu zawsze pamiętać o niezwykłych kolejach losu tego wojska, o szczególnych warunkach, w jakich ono powstawało, tworzyło się i szkoliło, a nade wszystko — w jakich się bije. Polacy na pierwszy rzut oka nie różnią się niczym od innych żołnierzy Armii Wyzwolenia — Anglików, Szkotów, Kanadyjczyków. Potrafią być jak tamci, beztroscy, pewni siebie, zaczepni, weseli. Rojno i gwarno bywało w "kafejkach" podczas zwycięskiego pochodu poprzez Sekwanę i Sommę. Kilkudniowy pobyt w Gandawie, gdzie centrum miasta kipiało życiem i zabawą a na przedmieściach toczyły się walki — przypominał najbardziej romantyczne tradycje polskiej kawalerii.

A jednak pod tą pokrywką żołnierskiej beztroski można odczuć pewien smętek i powagę. Są to rzeczy trudne do uchwycenia i określenia, płynne i niewymierne. Żołnierz niechętnie okazuje swe uczucia, niechętnie przyznaje się do wzruszenia. W okresie Powstania Warszawskiego w Dywizji panował kompletny spokój i niezbyt baczny obserwator mógłby powiedzieć — obojętność. Polacy w Londynie, jak można było sądzić z dochodzących nas głosów, z pewnością znacznie wyraźniej przeżywali tragedię warszawską. Tymczasem w Dywizji nieustanna walka, grożące zewsząd niebezpieczeństwo, poczucie spełnionego obowiązku żołnierskiego, wyrażające się w tym jakże często powtarzanym zdaniu: "przecież ja się też biję" — wszystko to działało kojąco na sumienie, pozwalało na zachowanie spokoju i opanowania, broniło przed bolesnym poczuciem własnej bezsilności i nieprzydatności.

Myśl o Warszawie nurtowała jednak głęboko w sercach żołnierskich, a bezbronność stolicy budziła nie tyle może ból czy rezygnację — co gniew i wzburzenie. Nigdy nie słuchano tak pilnie komunikatów londyńskich, jak w ciągu ostatnich dni Powstania Warszawskiego. Skupione i poważne twarze żołnierzy stojących grupami wokół zaopatrzonych w radioaparaty samochodów czy czołgów — mówiły znacznie więcej, niż najbardziej wzruszające słowa.

Cała armia Sprzymierzonych na kontynencie żyje myślą o końcu wojny, o urlopach, o powrocie do rodzin i domów. Zawarcie pokoju, koniec wojny i demobilizacja — oto ulubione tematy w rzadkich wolnych chwilach. Przybycie poczty stanowi zawsze najważniejsze wydarzenie dnia. Listy z domów krzepią, pocieszają, ułatwiają wytrwanie.

Dywizja polska jest wojskiem bezdomnym. Łączności z Krajem nikt nie posiada, nikt nie otrzymuje żadnych wiadomości z domu. Myśl o przyszłości napełnia serce niepokojem, koniec wojny nie kojarzy się z radosną zapowiedzią demobilizacji i powrotu do domu. Każda rozmowa o nieznanym jutrze tchnie źle ukrywaną nutą niepewności.

W tym położeniu brak moralnego oparcia, brak domu uzupełnia Szkocja — Matka przybrana. Cała, olbrzymia zresztą poczta Dywizji — to poczta ze Szkocji. Stamtąd płyną listy i paczki, płyną ciepłe i serdeczne słowa otuchy od żon, narzeczonych, przyjaciół, od tych prostych, pełnych serca ludzi, którzy od lat otaczali opieką polskiego żołnierza.

Nic więc dziwnego, że u wielu myśl o "powrocie do domu" kojarzy się z powrotem do Szkocji, że Szkocja jest tym krajem. do którego jechałoby się na urlop, którego krajobraz rozpoznaje się we Francji czy w Belgii, że najczęstszą nazwą czołga nie jest "Marysia" czy "Basia", lecz "Margaret" lub "Betty".

Polska jest dla wielu czymś świętym, drogim sercu, odległym, koturnowym. Szkocja jest żywym wspomnieniem, czymś bezpośrednio bliskim. Nie znaczy to, by tak czuli wszyscy, by w czyimkolwiek sercu Szkocja była bliższa od Polski. Tak bynajmniej nie jest. Ale ten podświadomy podział na Szkocję — Wczoraj i Polskę — Przedwczoraj można jednak odczuć u wielu.

WOJSKO PRO-BRYTYJSKIE

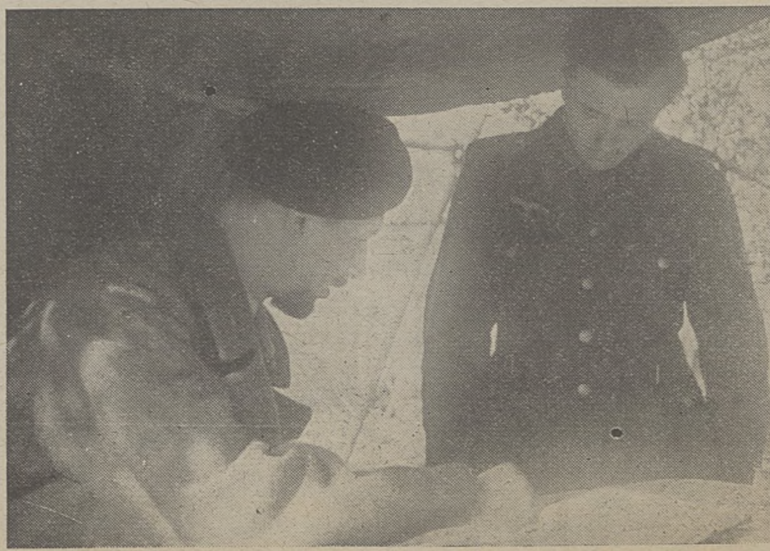
Streszczając te luźne uwagi, wywołane pytaniami o "nastroje", należy tu zwrócić uwagę na jeden niezwykle ważny czynnik. Dywizja jest — jeśli można użyć takiego określenia — wojskiem niezwykle pro-brytyjskim. Lata spędzone w W. Brytanii nie pozostały bez wpływu na kształtowanie się pojęć i poglądów. Polak, który z pogardą i niesmakiem krytykuje brud i zacofanie wsi francuskiej, czy też nędzny stan nawierzchni drogowych w Belgii, jest oczywiście smutnym przykładem emigracyjnej choroby. Ale ci, a jest ich wielu, którzy z prawdziwym uznaniem wyrażają się o politycznym ustroju Wielkiej Brytanii, o formach życia społecznego, o jej organizacji i kulturze, dowodzą, że w ciągu czterech lat pobytu na tej wyspie nauczyliśmy się naprawdę wiele.

Dywizja jest wojskiem pro-brytyjskim. Żołnierz wierzy w Wielką Brytanię, ufa — wbrew chwilom zwątpienia — jej przewódcom, a widząc otaczający go rozkład życia politycznego Europy, wierzy, że Brytyjczycy mają olbrzymią rolę do odegrania na kontynencie, wierzy w ich przyjaźń, doznawszy tak wielu jej dowodów.

Gdyby jednak ta wiara została zachwiana, gdyby zniszczono ten ostatni rezerwuar ufności i optymizmu . . . wówczas odpowiedzi na pytanie o "nastroje" nie nastręczałyby żadnych trudności.

TADEUSZ HORKO

Przesłuchiwanie jeńca niemieckiego



II. KORPUS DO 1. DYWIZJI PANCERNEJ

II Polski Korpus, 9.XII.44 — specjalnie dla "Polski Walczącej"

Dowódca II Korpusu, gen. Anders, złożył w swej kwaterze polowej w Apeninach korespondentowi P.T.A.-a przy II Korpusie, Ryszardowi Mossinowi — następujące oświadczenie dla walczących na froncie zachodnim żołnierzy 1 Dywizji Pancernej:

W MARSZU ŻOŁNIERSKIM DO OJCZYZNY II KORPUS WALCZY ZWYCIĘSKO W GÓRACH APENIŃSKICH O CAŁOŚĆ I SUWERENNOŚĆ POLSKI. NASZE SERCA I MYŚLI SĄ Z WAMI — MĘŻNI ŻOŁNIERZE DYWIZJI PANCERNEJ. JESTEŚMY DUMNI Z WASZYCH WSPANIAŁYCH ZWYCIĘSTW. USTA NASZE ŚPIEWAJĄ JEDNĄ PIEŚŃ: "JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA".

SZÓSTE TO JUŻ ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA I NOWEGO ROKU, KTÓRE OBCHODZIMY POZA KRAJEM. WIERZYMY, ŻE TAK WY TAM NA FRONCIE ZACHODNIM, JAK MY TUTAJ WE WŁOSZECH, NASZYM CZYNEM ZBROJNYM ODBUDUJEMY POLSKĘ WIELKĄ I NIEPODLEGŁĄ, POLSKĘ NIEUMNIEJSZONĄ, TAKĄ, JAKĄ NOSIMY W SERCACH I JAKIEJ SKŁADALIŚMY NASZĄ PRZYSIĘGĘ ŻOŁNIERSKĄ. WIERZYMY, ŻE JUŻ NIEDŁUGO ZABRZMI DLA NAS PIEŚŃ WOLNOŚCI.

W IMIENIU ŻOŁNIERZY II KORPUSU I WŁASNYM, ZA POŚREDNICTWEM TYGODNIKA "POLSKA WALCZĄCA" PRZESYŁAM GENERAŁOWI MACZKOWI I WSZYSTKIM ŻOŁNIERZOM 1 DYWIZJI PANCERNEJ SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE.

GRUDZIEŃ 1944 R., WŁOCHY

DOWÓDCA II KORPUSU, WŁADYSŁAW ANDERS, GEN. DYW.

Dziennikarze — żołnierze II Korpusu ślą ze swej Kwatery Prasowej we Włoszech przez "Polskę Walczącą" serdeczne życzenia świąteczne dla mężnych żołnierzy Dywizji Pancernej.

NASTĘPNY NUMER
"POLSKI WALCZĄCEJ"
UKAŻE SIĘ 4 STYCZNIA
Z DATĄ 6 STYCZNIA

Mój czołg nazywał się "Poznań"



Kolegom z załogi "Poznania"

Zauważyłem to dopiero tego rana, zmokłego, zimnego rana po nieprzyjemnej nocy. Mój czołg nazywał się "Poznań". Dla urodzonego w Poznaniu jak gdyby znak. Wnoszę oczywiście, że szczęśliwy.

Ledwo do niego siadłem, już ruszamy. Zadanie jest bardzo proste: przygotować ogniem natarcie na Zondereigen. — "No, to się pan porucznik teraz nastrzela" — mówi mi przez domofon któryś z załogi.

Zamknąłem klapę. Ciągniemy przez pole, omijając od prawej te domki, z których pierwszy gościł mnie na noc. Przed nami już tylko krzewy, równina polna, zarośnięta jednakże łoziną, kępkami krzaków, kukurydzą, zagajnikiem nawet bardziej w prawo. To wszystko na pierwszym planie, a zaraz za tym jak na dłoni o trzysta metrów zabudowania Zondereigen z wieżą kościelną i czerwonymi dachami domów. Oglądam to w peryskopie: posiada smęt zmokniętej jesienności, jest puste. Ale nie ma czasu wczuwać się w nastrój tego porankowego krajobrazu, bo już czołg się zatrzymał i słyszę w słuchawkach komendy: — "Widzisz Edek wieżę od kościoła? Pepancem najpierw spróbujemy, trochę nad zegar weź ją". A do mnie: — "Po tych krzakach, panie poruczniku, posiewanego!" Ująłem karabin maszynowy, ciągnę za spust.

Pracuje. Gęsto sypią się łuski wystrzelonych nabojów. W prostokącie pryzmatu śmigają spod nas błyszczące, iskrowate pszczoły. — "Niżej, niżej" — wołają słuchawki. Podciągnąłem uchwyt lekko w górę — teraz te same smugi szyją płomienną linią prosto po łętach, po polu i wnikają między gałęzie, w trawę, w zarośla, aż się kurzy, ruszają źdźbłami sitowia czy łozy. W słuchawkach znowu głos: — "Gotowe? Ognia". To tak jak gdyby ten stalowy hipopotam, w którego wnętrzności siedzę, westchnął nagle i zasłonił chuchnięciem pole widzenia w moim wąskim okienku.

Odpaliła armata. Z szklanym brzękiem spada za mną łuska. "Dobrze jest — trafił" — mówią słuchawki. Rozwiewa się mglisty opar i widzę, że wieża ma nagle dziurę na wylot. — "Jeszcze jednego mu granatem". Znowu błysk, westchnięcie i mgła. — "Dobrze, Edek!"

Podjechaliśmy dalszy kawałek. Górny karabin maszynowy strzela. Wtóruję mu z mojego miejsca, przemiatając seriami zarośla. Prujemy tak na dwie lufy, ile się zmieści, taśma za taśmą, aż dusi od gęstych gazów, aż w gardle i nosie drapie, aż się robi gorąco w komorze.

Podsunęliśmy się naprzód, obok innych czołgów, które tę samą robotę robią. Nie słychać nic, ale widać efekt ich ognia. Jesteśmy odcięci od zewnętrznego głosu świata nie pancerzem, ale hukiem motoru, który brzmi ciągle jakby dudnienie bombowców i huczy szumem w słuchawkach, odciętym jako osobny motyw na tamtym tle głosowym. Gdyby nawet strzelano do nas i tak nic nie usłyszymy.

Strzelamy jednak my. — "Weź Edek między te dwa domy. Granatem!" Nowe buchnięcie mgły i upadająca gdzieś za mną łuska. Zmieniam taśmę przy karabinie. Każdy podejrzany punkt w krajobrazie wsi, każde zgęszczenie gałęzi między domami sprawdzamy pociskiem. Nikt nie wie, gdzie się tam kryje działo, a może i czołg. Niemcy maskują się świetnie.

Tymczasem Zondereigen milczy. Ani znaku życia. Ani śladu czyjejkolwiek obecności. My do obrazu, a obraz ani razu. Gdyby sądzić z tego — nie ma Niemców. Doświadczenie normandzkie uczy jednak, że samo rozpoznanie ogniowe nie jest żadnym rozpoznaniem. Że dosiadują bestie jak zając w kotlinie, że wytrzymują nerwowo niemałe nawały ogniowe — i ani drgną. Za to jak się potem wychylisz myśląc, że już spłoszeni, pokazują zęby. I niejednego łupnia już dali nazbyt pochopnym.

Zabrakło amunicji na wieżyczce, wyciągam teraz te długie, ciężkie tuleje zza swego siedzenia, gdzie leżą jak nie przymierzając dostatnie butle w łożyskach jakiejś dobrze zaopatrzonej piwnicy. Jeszcze kilka odrzutów działa i — "Przerwać ogień". W wieży kościoła jest teraz szeroka dziura, poza tym ani śladu naszego strzelania na obrazie wsi. Ruszamy z powrotem na przeprawę.

Zatrzymaliśmy się, wysiadamy z czołgów — a tu nagle dają o sobie znać Niemcy. Moździerzami. Słychać najpierw dalekie odpalenie — i chwila ciszy. Oho, jedzie diabeł i świszcze. I już w naszym sąsiedztwie trrrach, trrrach. Ziemia idzie w powietrze ciemną fontanną, ludzie robią się nagle mali, nieznaczni, przyciśnięci do ściany rowu, za kariersem, za czołgiem skupieni, robiący miny niepokoju, z oczami, które z podełba i podejrzliwie zerkają ku górze, wsłuchani w nadchodzenie tego świstu, jak w zwiastowanie grozy. Trrach, trrrach — biją po nas z moździerzy. Ale ledwo uciszy się przez chwilę to diabelskie rąbanie, już podnoszą się głowy i już twarze przybierają znowu wyraz normalny, można by prawie powiedzieć beztroski, i nawet dowcipami się pokrzepiają, że żyją. Jeszcze żyją! Zostaje tylko w nerwach i błąka się w piersi uczucie tremy, jeszcze nieprzezwyciężonej.

Czołgi odchodzą do tyłu po zaopatrzenie. Zatrzymały się przy rozbitym domu — załogi ładują ze złożonych przy drodze w metalowych zasobnikach pociski, każdy w kartonowym futerale, który się wyrzuca. Napełniają piwnicę, myślę sobie, snując dalej to porównanie z butelkami.

Ale mnie korci przyjrzenie się za dnia rozbitej ogromnej budzie taborowej Niemców. Wygląda jak wóz meblowy podciągnięty tu do przeprowadzki, któremu urwały się konie, że aż dyszlem zarył w ścianę i stoi oto bezradnie przy wypalonej chałupie.

Wyciągam z tego wozu szeroki, czerwony, pomięty płat hitlerowskiej flagi, przedstawiający teraz praktycznie już nie drapieżną chorągiew, ale jakiś obłaskawiony materiał na wiejską spódnicę, tyle że z białym kręgiem i kanciastą swastyką wbitą w sam środek. A przecież ta sama szmata, ile budziła grozy, jaką potęgą wiała ponad nieszczęsną ziemią Europy. Tę samą pamiętam z wysokich drzewców wiatrem rozwianą dumnie nad obozami jeńców, widzę ją jeszcze, zdobiącą niemieckie miasta: znak panowania i zwycięstwa. Niosę teraz obfite zwoje tego płótna w tonie ciepłej, ceglastej czerwieni — niby znak widomy zmiany jaka zachodzi, choć jeszcze nie zwycięstwa.

Ale przynoszę tę zdobycz, triumfalnie nieco, na swój czołg. I spostrzegam się właśnie, że nie mam wcale szalika. Więc mi plutonowy Słowik odcina wąski kawał tej czerwonej płachty, w sam raz na zawiązanie pod szyją — to będzie odtąd mój szalik.

Chwila czasu, przed powrotem na przeprawę. — "Opowiedzcie mi historię waszego czołgu, tego "Poznania" — mówię. Opowiadają naprzemian. Od Normandii jest w akcji. Szczęśliwym trafem nic mu nie było ani pod Caen, ani pod Chambois. Sąsiednie płonęły, wybuchały, stawały przedziurawione pociskami — a "Poznaniowi" nic. Szczęśliwy czołg. Wprawdzie nikt z załogi nie jest Poznańczykiem, ja pierwszy dopiero. Słowik jest pochodzeniem z Zaolzia, choć wyjechał do Bay City, Michigan, a potem był na wsi, pod Trzemesznem. Miał czterech braci w kampanii wrześniowej, nic o nich nie wie. Kapral Błasik, kierowca, sąsiad z czołgu, jest z zawodu robotnikiem rolnym z Sandomierszczyzny. Rodzinę zostawił w Polsce. A znowu radiotelegrafista pochodzi z Kosowa. Ożenił się tuż przed wojną i ma syna, którego nigdy nie widział. W ostatnim z Polski liście, jaki dostał, piszą mu o nim: "Ma śliczne czarne oczka. Wszyscy się nim zachwycają!" Natomiast starszy ułan Wawrzyniak, Edward, celowniczy, jest Polakiem-emigrantem z Belgii. Był dopiero w domu na urlopie i znalazł rodzinę w strasznej nędzy, ojca wywieziono do Niemiec. Zostawił im wszystko, co posiadał, ale się nadal nie przestaje martwić o ich bardzo ciężkie położenie.

Spotkali się ci przedstawiciele całej Polski w tym jednym czołgu — zrównani losem i trochę wyglądem. Załoga czołgowa w swoich kombinezonach robi wrażenie nie wojska, ale raczej zespołu mechaników. Z różnych tej Polski stron, opowiadają o tysiąc mil od ojczyzny, historię "Poznania". W tym czołgu żyją i mieszkają od początku kampanii. Przywiązali się do tego stalowego pudła, które jest ciasne, zimne, nieprzytulne, ale stanowi dla nich jedyny już teraz dom.

Siadamy znowu do środka. Za piętnaście minut ma wyjść natarcie. "Poznań" zgrzytając na szosie podciąga do wyjściowej podstawy za mostek. Piechota już w rowach po jednemu wycieka naprzód. Jeszcze krótka rozmowa z Matulanisem, komuś się zgubiły rękawiczki, czy kto nie widział rękawiczek?, Piechota coraz dalej wysuwa się rowami, czas na czołgi — kierunek po drodze. Kiwnięcie ręką, jedziemy.

W wojskowym języku nazywałoby się to posuwanie skokami. Czołg jednak nie skacze, tylko coraz to zatrzymuje się. I to od chwili, kiedyśmy się wysunęli za te trzy domy, dobrze poznane minionej nocy i kiedy otworzyła się przed nami prosta, grodzona klonami droga do Zondereigen — zabudowania widać o dwieście metrów, nad nimi podziurawiona przez nas wieża kościoła. Wspieramy piechotę nie tym posuwaniem, choć podobno sam widok czołgów robi duże wrażenie na nieprzyjacielu, ale przede wszystkim ogniem. Przystawanie co parędziesiąt kroków temu służy celowi. Grzejemy z wszystkich luf. Jeszcze nie w domy. — "Natura się jakoś wzdraga, żeby strzelać do domów — powie potem Edek — natura szuka otwartego" — ale w kępy, w zarośla, po bokach. Czy do nas strzelają — niewiadomo. W czołgu się tego nie wie i nie słyszy. Wprawdzie jak dobrze dostanie, to aż go zarzuci, jeżeli nie wybuchnie, ale wstrząśnięć jest ciągle tyle, że się zatraca poczucie ich pochodzenia.

Coraz bliżej. Klapa nade mną już zamknięta. W słuchawkach głosy komend i wskazówek mieszają się z muzyką jakiegoś *swinga* czy walca. Dwie różne rzeczywistości, przeplecione z sobą w takiej chwili. Atak z muzyczką.

W okienku celownika widzę tylko wykrój tej drogi i te budynki przed nami. I piechotę, flankującą nas po rowach. Ostrożnie strzelać, żeby nie za nisko, żeby nie po nich. Strumienie pocisków smugowych prują przestrzeń, nasze, a także sąsiedzkie, z różnych stron i coraz bliżej wsi. Tuż, tuż przed nami ściany domów, okna puste i martwe. Jeszcze kawałek. Pierwszy z brzegu dom zasłania widok w ulicę. Jeszcze trochę. Czołg posunął się znowu, wchodzi między domy. Tylko cząstką uwagi zapisuję w pamięci widok przydrożnej kapliczki u wejścia do wsi, z urwanym przez wybuch narożnikiem.

Czołg wsunął się już do wsi, w wylot ulicy. Ulica pusta, wymarła, niesamowita, prowadzi spojrzenie aż po kościół, aż pod tę wieżę, w którą rano biliśmy z działa. Ale wzrok nie biegnie tak daleko. Wzrok, ograniczony prostokątem pryzmatu zatrzymuje się na czymś, czego nie rozumie. Stoi to pod bokiem domu, o sto metrów od nas najdalej — w kolorze trucizny, jadowite jakieś i o dziwnym kształcie, ni to samochód zielony, ni to zamaskowany czołg, może armata? W słuchawkach trzepocą się słowa, nałożone na takt muzyczki. — "Widzisz Edek?" — "Co to jest do cholery?" — "Działo na pewno, Strzelaj!" Chwila strasznego napięcia wyraża się w zapytaniu zadanym samemu sobie: jeżeli działo, to kto strzeli pierwszy? — "Widziałeś tego Niemca, co przebiegł ulicę?"

Nie mogę czekać. Ciągnę za język spustowy. Uchwyt karabinu drga szybkim taktem serii. I w tej chwili wstrząs: odpalenie. Mgła zasłoniła widok. Trafił? Nie wiem. Nie widzę. Kiedy nagle w słuchawkach: — "Pali się!" I już nie głos z nich się przebija, ale dławiący okrzyk: — "Z czołga!"

Do świadomości mojej dotarło jednak raczej przejaśnienie się jakieś obok, w komorze kierowcy. I jego cień, jak przez otwartą klapę wysunął się w górę. Miejsce jego już puste. "Pyrgali z czołga, jak wiewiórki" — powiedzą potem.

I dopiero wtedy zobaczyłem płomień. Cała przestrzeń za mną, aż po siatkę dzielącą nasz przedział od przedziału wieżyczki, przemiatana jest łopocącym, ciemnym płomieniem. Pali się! Z czołga! Skojarzenie: komora amunicyjna — leżące w niej butle pocisków — ta piwnica zaraz wybuchnie. Zryw wszystkich mięśni, cały wysiłek istnienia i nerwów włożony w ten jeden cel: otworzyć klapę, uciec od tego sąsiedztwa. Dźwignąłem w górę jej niezgrabny ciężar, podparłem ramionami: co jest? Nie puszcza. Otwarła się tylko szparą na przesunięcie rąk. Widzę przez nią stalową rurę lufy od działa, czuję ten sztywny, nieprzytomny opór. Obrócona w prawo do strzału zastawiła klapę, jakby skoblem. I teraz już szaleńcze mocowanie. Teraz jeden tylko nakaz: odsunąć tę lufę, która zagradza mi wyjście z pancernego pudła, która tarasuje powrotną drogę na świat, na swobodę, w życie.

To już są te sekundy, trwające całą wieczność. I nic, i wszystko na próżno, nie puszcza, nie drgnie, nie ustąpi. Walka instynktu życia przeciwko zmowie dwóch żywiołów: płomienia i stali. Ognia, który podpędza i żelaza, które nie puszcza.

Spodziewanie wybuchu każdej następnej chwili. Ciemne trzepoty płomieni rozprowadzają się w głębi upiornym blaskiem. Przemknęły przez pamięć dwie cyfry usłyszane wczoraj czy przedwczoraj: 640 litrów benzyny, blisko tona amunicji w czołgu. I dodany do tego płomień. I zamknięte w tym czołgu życie. Tylko ułamek czasu, w którym dociera do głowy świadomość: na nic. Dotknięcie ostateczności. To już to — i nie ma odwołania.

Tysiąc przedziwnych skojarzeń ciurkiem przemyka przez mózg. Wczorajsze czyjeś słowa odpowiedzi na zapytanie: a co robić, jeśli trafi w amunicję? Wtedy już tylko chyba: "do — modlitwy". Słyszę nawet jeszcze ton tej koszarowej komendy: "Do modlitwy!" Jak się tu modlić i o co! Nikt dotąd nie ułożył krótkiej modlitwy dla palących się w czołgu. Tak jak nikt nie pomyślał o modlitwie dla spadających z dachu. Te błyskawiczne echa podświadomości szamocą się w głowie razem z próbami znalezienia wyjścia.

Opór odrzucił mnie w tył, ku płomieniom. Bezradność niemal już zrezygnowana. Nie śmierć jest przerażająca, ale ten krwawy pożar w ciasnocie pancerza, którego całe niebezpieczeństwo mieści się już we wnętrzu, który przed niczym nie chroni, a od wszystkiego odcina. I dopiero z cofnięcia się w głąb tej komory, która już jest pułapką, objawił się oczom widok, podrywający nadzieją. To otwarta na oścież klapa nad miejscem, gdzie siedział kierowca. On przecież tamtędy wyskoczył!

Nerwowy, dziki pośpiech. Przeprawianie się na jego miejsce. Wspięcie na rękach. Wydostaję się więc z tego czołga, jak z pieca, jedynym kominem.

Przede mną ta sama pusta, martwa uliczka, jak nowe niebezpieczeństwo — będą z niej teraz strzelać do tej postaci, co wyskakuje. Czuję się nagle celem, na który skierowane są oczy i lufy wszystkich Niemców. Ale to zagrożenie zdaje się jakieś niewinne w porównaniu z szarpnięciem za głowę, które wciąga z powrotem do czołga, w płomień. Zapomniałem zdjąć hełm ze słuchawkami. Zrzucam go, zrywam z głowy szaleńczymi ruchami, wyplątuję się z tych sznurów. Nic innego nie istnieje już więcej, tylko ten upór życia.

Jeszcze jeden wysiłek ramion, pchnięcie się naprzód całym ciałem — wyrwany z wnętrza, uratowany, zeskakuję gwałtownie na ziemię. Tylko dwa kroki do rowu i w rów. Przywarcie twarzą do trawy, czuję znów ziemię pod sobą. Podniosłem głowę, czuję nad sobą niebo. Jak dobrze smakuje szeroki oddech powietrza. Nic to, że wkoło grzmocą pociski, że ta ziemia i to powietrze drga od wybuchów.

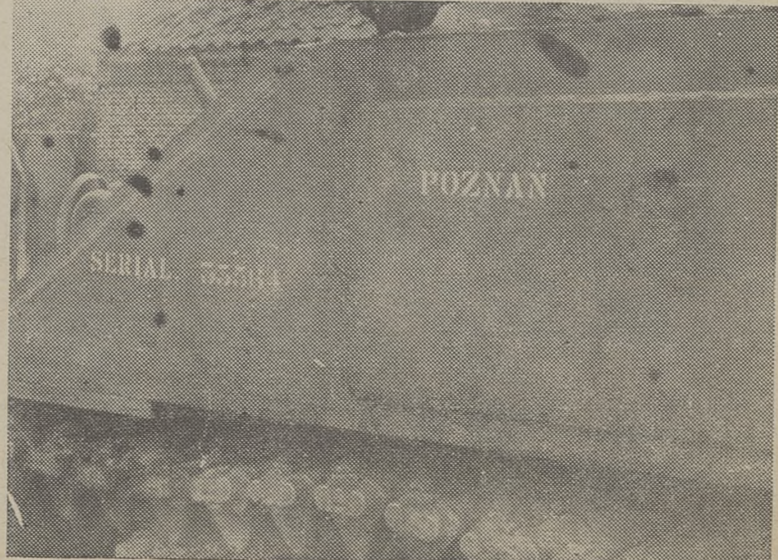
Biegnę skokami wzdłuż rowu, wymijając przyczajoną w nim piechotę. Padam i zrywam się znowu. Widzę przyjazny gest i uśmiech Matulanisa na czołgu, który jechał za nami. Dobiegłem z powrotem do tych domów, od których wyszło natarcie. Z gołą głową, w rozpiętym mundurze.

Za domami czołg dowódcy szwadronu. — "No, winszuję! Upiekło się wam niezgorzej. Będzie pan teraz mógł nosić swój czerwony szalik. Bo to niepisana umowa tych, co wyskakiwali z czołga".

Zapomniałem, że mam go na sobie. Był noszony przez godzinę przedtem, jakby na kredyt.

Są ze mną wszyscy z załogi. Czekali na mnie w rowie. Opowiadają jeden przez drugiego, że szczęście, że Bogu dzięki i że szkoda naszych rzeczy, które tam przepadły, — "Myśleliśmy, że pan się tam upiecze na żywca — i niewiadomo nawet z której strony nas "przyuważyli", a to właśnie kiedy Edek strzelił i powiedziałem: "Brawo Edek" i jeszcze "k" nie zdążyłem wymówić od słowa Edek, a tu patrzę, płomień bucha" — aż w tę nerwową rozmowę wpisuje się obraz, na który patrzymy razem i słowa więzną w gardle i wraca całe napięcie przeżycia: u wylotu wioski płonie wysokim ciemnym płomieniem i smugą czarnego dymu opuszczony nasz "Poznań".

ALEKSANDER JANTA



Sokolęta i Warchlaki

Reportaż o polskich okrętach podwodnych

My mówimy bohaterstwo, a oni mówią: robota. My mówimy: poświęcenie, a oni mówią: łba na szczęście nie urwało. My mówimy: patriotyzm, a oni mówią: tam w Gdyni, przy ulicy Leśnej 24 . . . My mówimy: rodacy, a oni mówią: ci, którzy mi z rodziny zostali. My, to wszyscy ci, którzy ich bliżej nie znają. Oni, to są "Sokolęta" i "Warchlaki" — polscy marynarze podwodni.

Siedzą gdzieś na tej swojej bazie okrętów podwodnych ukryci i przyczajeni. Czekają, ostrzą szable i szpony, czyli po ludzku powiedziawszy, naprawiają swojego "Dzika" i "Sokoła". Naprawiają — to wcale nie znaczy, że ich okręty są popsute. Tak delikatne mechanizmy muszą być w czasie postoju w porcie przeglądane i naprawiane zapobiegawczo.

Moment postoju okrętów i ich załóg w porcie — "na bazie" — należy wykorzystać. Trzeba wypytać ich o wszystko, co miłośnikom sensacji ułatwi poobiednie trawienie, a podróżnikom z książek doda do ich podróży sporo mil morskich przebytych pod wodą. Nieszczęście chce, że oni nie wyglądają na zbyt rozmownych. Gdy zapytuję ich o wrażenia, jakieś uczucia szczególne, odpowiadają krótko i raczej niechętnie: — " . . . taaak, nudno było. Mało się spało na ogół. No i ten paskudny *corned beef* . . ."

I gdzie tu jakieś wrażenia? Czy naprawdę nic nie ma, czy może oni nie chcą mi nic powiedzieć? Ani jedno, ani drugie. Ich zawód, dla nas niesłychanie ciekawy i pełen wrażeń, dla nich jest prawie tylko zawodem. Dla marynarza podwodnego własny zawód jest nieciekawy, natomiast lotnictwo — to coś wspaniałego. A dla lotnika odwrotnie. I żadnemu się nie można dziwić. Trzeba wobec tego wymusić zeznania o tych "zwyczajnych i codziennych rzeczach" — to dla nas wystarczy.

KANCELARIA

Każde przyzwoite wojsko zaczyna się od kancelarii. Marynarka pod tym względem nie odbiega daleko od ogólnych wzorów. A w kancelarii musi siedzieć ktoś, kto nią rządzi — w danym wypadku Płatnik, z angielska *Paymaster*. Jak sama nazwa wskazuje, jest on głównym propagatorem oszczędności, która wyraża się w zawołaniu bojowym: — "Wydaj dziś to wszystko, co jutro może utonąć . . . razem z tobą!" Nie spotkałem zbyt wielu nieposłusznych zawołaniu Płatnika.

Za chwilę do tego przybytku list płac, podań, rozkazów i sprawozdań, przyszedł ktoś drugi. Gdy oglądnąłem sobie sylwetkę, zaraz pomyślałem: ciało małe, ale duch wielki, musowo. I tak było w istocie. Nowoprzybyły zmierzył mnie badawczo swoimi małymi, przenikliwymi oczętami i na powitanie zastrzygł wydatnymi płachtami uszu. Płatnik pośpieszył dokonać ceremonii przedstawienia.

Mruknąłem swoje nazwisko, adres i cel mojego przyjazdu. Dowiedziałem się, kto zacz: pan życia i śmierci załogi maszynowej, wszelkich motorzystów, mechaników i elektrykarzy. Właściciel rozlicznych przydomków, z których najdźwięczniejsze to: "Kurczę Pieczone" i *"Chieffy"*, czyli po angielsku "szefunio". Dziwiłem się — nic w nim z kurczęcia, nic pieczonego. Przypominał mi ptaka, owszem, ale raczej krogulca, lub kruka i to z gatunku przyjemnych. Takich "białych kruków".

"Murzyn" — "Toto"

"Chieffy"

Obaj wyżej wymienieni panowie zręcznie wykręcali się od wydania mi jakichś wartościowszych szczegółów. Tłumaczyli, że takie szczegóły mogą wyjść z ust przedstawicieli jednego, lub drugiego okrętu. A oni nimi nie są. Oni są produktem małżeństwa "Sokoła" z "Dzikiem" i wskutek tego należą równocześnie do obydwóch.

Wreszcie zjawia się ktoś trzeci. Od razu widać, że w kancelarii jest rzadkim gościem. Na krześle siada ostrożnie i półgębkiem. Milcząco i jakby głodnym wzrokiem ogląda kupę listów leżących na stole Płatnika. Ten ostatni warczy uprzejmie:

—Nie, nic nie ma dla ciebie. *Sorry* . . .

—Ja także . . . — mruczy gość, później zwraca pytające oczy na mnie. Poznajemy się, bardzo nam przyjemnie. Kto to ja, już wiemy, nieważne. On ma cztery przezwiska, które wszystko za niego mówią: "Pierwszy" czyli Zastępca, "Murzyn" i "Toto". Jest Pierwszym Oficerem, Zastępcą Dowódcy Okrętu "Dzik", podobny jest do murzyna, a w prywatnym gruncie rzeczy przyjemne toto. "Toto" już jest bardziej, na szczęście, prasowo nastawiony. Bardzo się moim zamiarem interesuje i obiecuje pomóc.

"Toto" jest realistą. Nie, nie ma mowy, żebyśmy się mieli tak od razu dobierać do "literatury i sztuki". Na to jest czas. Nakazem chwili jest obiad. Żołądek burczy mi w przeraźliwy sposób. Płatnik zamyka w ciężkiej kasecie swoje drogocenne dokumenty, *"Chieffy"* rzuca w popłochu swoje szkice techniczne, "Toto" bierze mnie pod rękę i idziemy.

MESSA

Nie tak wyobrażałem sobie kryjówkę korsarzy. Myślałem, że w najlepszym razie będzie to jakieś stare zamczysko z mostem zwodzonym, fosą, basztami, setkami krużganków i tysiącem forteczznej załogi. Zamiast tego wszystkiego jest duży, jasny dom, a szeroko otwarte drzwi gościnnie zapraszają do wnętrza. Żaden wartownik nie strzeże kryjówki — po prostu wchodzi się do środka i zdejmuje palto.

"Toto" prowadzi mnie do jadalni. Przypomina ona wielką salę w luksusowej restauracji z jedną tylko odmianą: umundurowane, zgrabne "Wrenki" odgrywają rolę kelnerek. Co chwila nowe grupy oficerów wchodzą na salę. Niestrudzony "Toto" objaśnia. Tak, te mundury już znam — to oficerowie Marynarki Królewskiej z galonami służby stałej i rezerwy ochotniczej. Młodzi ludzie o żywych twarzach z ryżymi, czarnymi i blond brodami. Rzadko bez bród.

—Wygodna i przyjemna tradycja — mówię do "Tota" — na okręcie podwodnym niełatwo jest golić się codziennie.

—Tradycja, zgadzam się — mówi "Toto" — ale czy tak wygodna, to śmiem wątpić. Człowiek ma więcej kłopotu z utrzymywaniem brody w porządku, niż z codziennym wygalaniem kłaków.

Następnie wchodzą wysocy, wąskobiodrzy Norwedzy o białych i dziwnie bezbrwistych twarzach. Za nimi suną zażywni Holendrzy, senni i nieruchawi. Czarni Francuzi, wiecznie podnieceni, omawiający zapewne tak ważne tematy, jak kobiety i angielska kuchnia. Ostatni wchodzą Polacy z niedobitkami innych narodowości, wytrwale wiercący polityczne dziury w brzuchach tych ostatnich, nic nie rozumiejących wprawdzie, ale zato cierpliwych, grzecznych i wierzących na słowo.

Obiad był tak dobry, że lepiej o nim nie mówić. Po obiedzie przechodzimy wszyscy do pokoju klubowego. Opiekun "Toto", Płatnik i *"Chieffy"* przedstawiają mnie reszcie swych kolegów. Poznaję Dowódcę Okrętu "Dzik", komandora podporucznika R . . . Zły jestem, że nie posiada on żadnego pseudonimu, ani przezwiska. Podwładni mówią o nim "stary", choć na przekór jest młody.

"Stary" jest starszy od reszty załogi tylko o kilka lat. Próbować z nim samym mówić o nim było by sprawą beznadziejną — jest uprzejmy, życzliwy, uśmiechnięty, nawet rozmowny, lecz gdy zjeżdżam na jego własny temat, milczy jak zaklęty. Dowiaduję się o nim od innych. Jeden z podchorążych mówi mi o nim w zaufaniu dwa słowa: "cudny chłop". Jest doskonałym, zaciętym i, jak trzeba, twardym dowódcą. Tak przynajmniej mówią mi o nim jego podwładni — oficerowie i marynarze. Pisze wiersze i rysuje. Przepada za dobrymi kawałami i figlami.

Później poznaję Nawigacyjnego z "Dzika". Okrągła buzia dziecka i niewinne oczęta jak chabry — nigdybyś nie pomyślał Czytelniku, że taki tygrys z niego. Nawigacyjny jest nie tylko z racji swego stanowiska podporą "Dzika" — ten wielki "Warchlak" jest sam w sobie potężną osobowością.

"Bliźnięta"

Kapitan M . . . jest "nowy" w tym zespole. Nie znaczy to wcale, że jest świeżym podwodniakiem, przed wojną był zastępcą dowódcy jednego z naszych okrętów podwodnych. Teraz, po pięciu latach przymusowej rozłąki wrócił do ukochanej służby.

Tak można by było opisywać wszystkich po kolei ze szkodą dla tajemnicy służbowej i papieru redakcyjnego. Podchodzi do mnie jednak "Toto" i zdecydowanie, stanowczo ciągnie mnie za rękaw. Muszę odwiedzić "jego" okręt, który przechodzi kurację przeczyszczającą. "Toto" ostrzega mnie — okręt jest w suchym doku i nie przedstawia się zbytnio ciekawie.

"DZIK" NA KURACJI

Okręt w suchym doku przedstawia się akuratnie tak samo, jak ryba wyjęta z wody. Jest tak samo bezradny i pozbawiony oddechu. Tak samo jak ryba szczerzy wszystkie otwory swych włazów, macha płetwami sterów w powietrzu.

Przeraźliwie wygląda biedne bydlę oskrobane ze swoich łusek. Wnętrzności także wyjęte i złożone do warsztatów na brzegu. Cała kancelaria okrętowa spoczywa w biurku Dowódcy — wobec tego idziemy do "kabiny", czyli pokoju Dowódcy w "messie". Książka Raportów Dowódcy Okrętu jest prawdziwym, beznamiętnym pamiętnikiem okrętowym. Zamyka w suchych, krótkich słowach opisy walk, akcyj torpedowych, abordaży i długich godzin przeczekiwania nieprzyjacielskich ataków. "Dzik" jest młodym okrętem. Zbudowany w Anglii, ma dotychczas za sobą jedną kampanię, czyli okres od momentu wejścia do akcji do momentu oddania do pierwszego remontu.

Widomym znakiem działalności okrętu podwodnego jest jego bandera korsarska, tak zwany *"Jolly Rogers"*. Nazwa angielska pochodzi z czasów, gdy wolni, bezpańscy piraci włóczyli się po morzach i łupili ze skóry wszystko, czego dopadli. Pewnego razu, admirał Marynarki Królewskiej Rogers odniósłszy walne zwycięstwo nad korsarzami, ogłosił im, zamiast spodziewanego stryczka, łaskę Króla Jegomości, pod warunkiem masowego wstąpienia do jego floty. Jasna rzecz, że taki admirał musiał się wydać korsarzom wcale wesołym facetem. Na jego cześć flaga korsarska — czarne płachcidło z trupią czaszką i piszczelami — została przezwana "Wesoły Rogers".

Załoga "Sokoła" w komplecie

w porcie

Wracając do portu po długiej wyprawie każdy szanujący się okręt podwodny wystawia na widok publiczny swoją banderę korsarską — rejestr zwycięstw i powodzenia w łowach. Czerwone prostokąty naszyte na czarnym tle oznaczają nieprzyjacielskie okręty wojenne zatopione przez torpedy. Tych samych wymiarów białe prostokąty — to statki handlowe przeciwnika posłane na dno. Dwie skrzyżowane lufy armatnie — to akcja z działa okrętu w czasie jego wynurzenia na powierzchni. Gwiazdki rozsypane naokoło luf armatnich oznaczają ilość tego rodzaju akcyj; coś w rodzaju okuć na odznaczeniu. Dwie zakrzywione szable oznaczają akcję abordażową — czyli wypad załogi okrętu na statek nieprzyjaciela i zdobycie go, względnie unieszkodliwienie walką wręcz.

"Dzik" ze swej jednej kampanii zebrał wcale pokaźne owoce: cztery okręty wojenne nieprzyjaciela storpedowane, czternaście statków handlowych, trzykrotna akcja artyleryjska i dwie akcje abordażowe.

Romantyczne czasy korsarzy przypomina akcja abordażowa. Nawet sucha i nieromantyczna książka raportów nie może ukryć wrażeń z abordażu. Nie trzeba się silić na własny styl — wystarczy usunąć wszelkie cyfry i dokładniejsze dane, resztę przytoczyć dosłownie:

"Morze Egejskie. Jasna, księżycowa noc przy silnym wietrze i wysokiej fali. Obserwacja bardzo utrudniona. Okręt na kursie południowym, wynurzony. Godzina . . . oficer wachtowy zauważył duży szkuner /żaglowiec/ idący pełnym wiatrem w naszym kierunku. Sylwetka żaglowca bardzo była podobna do niemieckich okrętów-pułapek, które patrolują po morzach, mając dobrze zamaskowane działa przygotowane do strzału. Dowódca zdecydował zanurzenie okrętu. Dalsze obserwacje prowadziliśmy z peryskopu. Gdy szkuner zbliżył się do nas, dowódca rozpoznał niemiecki szkuner handlowy, na który nie warto było poświęcać torpedy. Wynurzyliśmy się i rozpoczęli ostrzeliwać szkuner z działa. Na pokładzie szkunera powstała panika. Kilku Niemców — marynarzy i żołnierzy wskoczyło do wody. Nie było mowy o ich ratowaniu, choćby ze względu na wysoką, sztormową falę. Po kilkunastu naszych strzałach już tylko bezradny kadłub bez żagli i masztów chybotał się na fali. Dowódca zadecydował abordaż. Kilku marynarzy z pistoletami i nożami w ręku wskoczyło na pokład wraku".

Resztę opowiada mi Toto, bo książka raportów zawodzi:

—" . . . *chłopcy na szkunerze nie odkryli już niestety żadnego Niemca. Na próżno potrząsali wojowniczo swoją bronią. Wielkie bryzgi krwi świadczyły o skuteczności naszego działa. W pewnym momencie nowocześni piraci usłyszeli wyraźne zawodzenie krów. W zamkniętej ładowni około trzydzieści krów z cielętami dawało znać o swym smutnym położeniu. Krów nie dało się uratować. Nawet biorący udział w wypadzie kucharz nie mógł "przyholować" cielaka dla zmiany wiktu. Przykro nam było wszystkim bardzo — bo wiadomo, krowy bydlęta pożyteczne i żyć chcą niemniej od człowieka. Poza tym, o ile mi wiadomo, krowy były dotychczas neutralne. Udało nam się jednak zdobyć dużo pamiątek z tego abordażu. Prawdziwe węgierskie salami na greckim morzu z niemieckiego szkunera przez Polaków zdobyte, to była okazja "niewąska". Nasz kucharz nie martwił się długo utratą obory — zdobyliśmy świeże jajka i dużą ilość masła. Powiększyliśmy nasze zbiory o parę niemieckich hełmów, karabinów, pistoletów i kaemów. W ostatniej chwili odkryliśmy również parę worków poczty. Po dokładnym przeszukaniu szkunera oddział abordażowy opuścił pokład, na pożegnanie zakładając ładunek dynamitu i zapalając lont. Niedługo męczyły się biedne krowięta w zamkniętej ładowni . . ."*

O "SOKOLE", KTÓRY PŁYWA

Zabawnie musi brzmieć dla niewtajemniczonego takie zdanie: "Sokół" wrócił z pływania. Chciało by się powiedzieć raczej: z latania, prawda?

Wrócił "Sokół" z krótkiego pływania w przeddzień mojego wyjazdu z bazy. Byliśmy wtenczas w messie, w pokoju do gier. "Toto" i Kapitan M . . . zajęci byli obłupywaniem mnie ze skóry przy pomocy bilardu. Trudno, nie wszyscy mają wprawę w torpedowaniu bil . . . W pewnym momencie uchyliły się drzwi i do pokoju zaglądnął ktoś nieprzyzwoicie owłosiony, z pięciodniową co najmniej brodą. Toto szepnął do mnie tylko dwa słowa:

—"Sokół" wrócił.

Posiadaczem imponującej brody okazał się Dowódca "Sokoła" Komandor podporucznik K . . . Zerwałem się, właśnie jak ten nie przymierzając "Sokół" do lotu, ale już było za późno. Brodacz zniknął bezszelestnie. "Toto" mruknął żałośnie:

—Beznadziejna historia . . . Ogoli się i popędzi na miasto!

Nie należy tracić nadziei. Komandor to wprawdzie najważniejsza, ale nie jedyna część składowa okrętu. "Toto" i chabrooki Nawigacyjny prowadzą mnie do Pierwszego z "Sokoła". Młodzieniec o twarzy cherubina, także zarośnięty, jest Zastępcą na "Sokole".

—Co ja panu będę dużo zalewał — mówi — najlepiej będzie, jak pan to wszystko własnymi oczyma zobaczy.

Jak zawsze uprzejmy "Toto" zawozi nas do portu swoim "Rolls-Roycem", kupionym z drugiej ręki za 35 funtów u miejscowego przedsiębiorcy pogrzebowego. Po stromym sztorm-trapie, czyli po prostu powiedziawszy naszej wiejskiej drabinie, schodzimy na pokład.

Zastępca, przy pomocy Bosmana Okrętowego pokazał mi urządzenia okrętu. Zrobiło mi się zimno — nigdy nie będę w stanie opisać tej skomplikowanej maszynerii. Zupełnie tak samo, jak gdyby pokazano mi Omegę i po półgodzinnych oględzinach polecono wytłumaczyć "językiem przystępnym" zasady funkcjonowania zegarka. Nie, tego nigdy nie zrobię!

Bosman Okrętowy okazał się jednak wyrozumiałym człowiekiem. I tak niczego te szczury lądowe nie zrozumieją, poco tłumaczyć. Poczułem się zaszczycony tym zaliczeniem mnie do ich towarzystwa i zapytałem Bosmana, o czym wobec tego mam napisać z "Sokoła". Dostałem odpowiedź:

Nawigacyjny i "Stary" z "Dzika"

—Niech pan napisze o naszym *"Jolly Rogers"*.

—Ba? kiedy ja już napisałem o banderze "Dzika" . . .

—*"Jolly Rogers"* okrętu jest jego rejestrem zwycięstw — trzeba go opisywać odnowa przy każdym nowym okręcie — rozumuje Bosman.

No i dowiaduję się, że Okręt Rzeczypospolitej "Sokół" zatopił w dwu kampaniach łącznie pięćdziesiąt jeden tysięcy ton nieprzyjacielskich statków. Pięć czerwonych znaków to — krążownik pomocniczy, kontrtorpedowiec, ścigacz i dwa okręty przeciw okrętom podwodnym. Osiemnaście białych znaków — oznacza taką samą ilość statków handlowych. Trzy akcje abordażowe i jedenaście akcji z działa. Najcenniejszym jednak znakiem jest biała, niewinnie wyglądająca krata, która mówi, że "Sokół" dostał się w sieć zastawioną na okręty podwodne i wylazł z niej szczęśliwie.

Zadaję Bosmanowi nieco niedyskretne pytanie:

—A czy koledzy z "Dzika" nie zazdroszczą wam waszych dwóch kampanii i pełniejszego *"Jolly Rogers'a"*?

—Zazdroszczą nam tylko jednej rzeczy: dłuższego okresu szwabobójstwa. Niczego innego nie zazdrościmy sobie. Dwa okręty, dwaj dowódcy, dwie załogi, ale zespół jeden — odpowiada poważnie Bosman.

NIEDOPOWIEDZIANE SŁOWO

Jeden i ten sam zespół i duch . . . Dlatego właśnie tak trudno mi pisać o każdym członku załogi zosobna. Wszyscy są tak stopieni w jedną całość, że opisywanie każdego znużyłoby czytelników i, co gorsza, zwołałoby na moją głowę zemstę wszystkich bez wyjątku "Warchlaków" i "Sokoląt" — tych z "Dzika" i tych z "Sokoła". Oni tak nie lubią reklamy . . . Tak jak mi to jeden z matów powiedział:

—My nie żadne filmowe s t a r y . . .

Nie, nie są gwiazdami filmowymi. Mówią językiem potocznym, a słownik ich często obraża cywilne uszęta.

Na okręcie panuje ustalony porządek społeczny i służbowy: Dowódca, Oficerowie, Bosmani i Maci mają nie tylko swoje zadania oficjalne, są jeszcze poza tym opiekunami, starszymi kolegami i braćmi. Wiele mają w swym życiu takich chwil, w których silniejsze i bardziej wypróbowane nerwy ratują słabsze.

A marynarze? Tak często na lądzie urobić sobie o nich można niesłuszną opinię. "Rozhukana granda", mówią ludzie. Aby móc o nich coś powiedzieć, trzeba ich zobaczyć w czasie zajęcia i akcji, kiedy każdy z nich jest trybem i kółkiem maszyny, kiedy od każdego z nich zależy życie zespołu. W krótki zazwyczaj urlop na lądzie wkładają wszystko to, czego są pozbawieni na wodzie i w głębinie.

A teraz to niedopowiedziane słowo: tuż przed moim wyjazdem podszedł do mnie jeden z Dowódców i z groźną miną powiedział:

"Jolly Rogers" z bliska

—Panie drogi, zyskał pan całą naszą sympatię, ale może ją pan natychmiast stracić. Stanie się to wtedy, gdy napisze pan jedno słowo o honorze, patriotyzmie, obowiązku żołnierskim i t.p. Bo z tymi słowami, to tak jak z angielskim gentlemanem. Angielski gentleman nigdy nie mówi o sobie, że nim jest, ale każdy to dobrze wie. Te słowa, nigdy głośno niewypowiedziane, wiszą nad nami i my o nich dużo wiemy i myślimy. To jest nasza tajemnica, o której każdy wie . . .

ANDRZEJ STOCKER

Protokół podwodniaków

Jest to słuchowisko radiowe, które drukujemy na prośbę Polskiego Radia. Skonstruowano je na podstawie ogłoszonego obok reportażu Andrzeja Stockera. Zainteresowani Czytelnicy znajdują tu przykład, jak przystosowywać dla celów radiowych materiał własnych /lub cudzych/, byle ważnych i ciekawych przeżyć, które za pośrednictwem mikrofonu mogą się stać własnością powszechną. Ze swej strony zachęcamy Czytelników "Polski Walczącej" do skorzystania z tej lekcji poglądowej.

"Protokół podwodniaków" nadany był dnia 4.XI.1944 o godz. 11.15 w audycji Radia Polskiego dla Polskich Sił Zbrojnych w ramach periodycznego programu "Wydarzenia Tygodnia".

Speaker: *Wydarzenia tygodnia.*

Muzyka: /Otwarcie/.

Lektorka: *Przed paru dniami powróciły do baz w Wielkiej Brytanii dwa polskie okręty podwodne "Sokół" i "Dzik" po nielada wyczynach dokonanych w czasie kampanii na Morzu Śródziemnym.*

Lektor I: *Tak, Anglicy w porcie nie mogli się nadziwić ich "Jolly Rogers".*

Lektorka: *Różni ludzie, różnie piszą sprawozdania i protokóły. Są to przeważnie nudne i zawsze za długie elaboraty.*

Lektor I: *Ale nie w wypadku podwodniaków.*

Lektorka: *Nie, ich sprawozdania są krótkie i barwne. Dosłownie: barwne. Na czarnej fladze z trupią czaszką i piszczelami — zwaną "Jolly Rogers"—naszywają kolorowe znaki protokółu bojowego. A zatem: czerwony prostokąt po zatopieniu okrętu wojennego, biały prostokąt po wyekspediowaniu statku handlowego do królestwa Neptuna . . .*

Lektor I: *Tylko bez mitologii . . . Po prostu: na dno.*

Lektorka: *Skrzyżowane armaty oznaczają akcję artyleryjską na powierzchni, a skrzyżowane szable: akcję abordażową.*

Lektor I: *A "Sokół" ma ponadto znak — rarytas: biała sieć. Oznacza ona, że okręt podwodny wplątał się w sieć stalową i szczęśliwie z niej się wydostał. A wiadomo, że kto raz wlezie w sieć, to po większej części może . . . odmawiać paciorek.*

Lektorka: *Okręt Rzeczypospolitej "Dzik" wpłynął do portu z "Jolly Rogers", na którym widniały cztery czerwone prostokąciki, czternaście białych, skrzyżowane lufy i dwie gwiazdy, co oznacza trzy akcje artyleryjskie oraz dwukrotny znak skrzyżowanych mieczy.*

Lektor I: *Imponujący protokół.*

Lektorka: *Jeden z białych prostokącików naszyto na flagę po patrolu bojowym* /muzyka/ *pod Bastią i na Korsyce.* /pauza/.

Godzina piąta trzydzieści — okręt w zanurzeniu . . .

Muzyka: /Przejście wyrażające napięcie i pewną grozę./

Lektor II: *Podnieść peryskop bojowy.*

Efekty: /Odgłos podnoszenia peryskopu/.

Lektor II: *Zbliżamy się do portu. Kurs dwieście siedemdziesiąt.*

Lektor III: /z odległości/ *Kurs dwieście siedemdziesiąt.*

Lektor II: *Tak trzymać.*

Lektorka: *Okręt zbliża się do portu. Przez peryskop wyraźnie widać dymy. Jakieś okręty nieprzyjacielskie przygotowują się do wyjścia z portu* /wyciszać/. *Wśród załogi podniecenie.*

Lektor II: *Statek wychodzi z portu. Będziemy atakowali.* /Komenda/ *Przygotować aparaty torpedowe.*

Lektor III: /z odległości/ *Przygotować aparaty torpedowe.*

Lektor I: /z odległości/ *Przygotować aparaty torpedowe.* /Pauza/ /przez telefon pokładowy/. *Aparaty gotowe!*

Lektor II: *Opuścić peryskop.*

Efekty: /Odgłos opuszczania peryskopu/.

Lektorka: *Z torpedami przygotowanymi do strzału dowódca czeka na dostateczne zbliżenie się ofiary. Wewnątrz okrętu panuje absolutna cisza.*

Lektor II: *Alarm bojowy.* /Pauza/ *Podnieść peryskop!*

Efekty: /Odgłos podnoszenia peryskopu/.

Lektor II: /Pauza/ *Szybkość celu 5 . . . Kurs celu 3 stopnie. Kąt trafienia 120 . . . czas odpalania 5 sekund . . . odległość . . . uwaga . . . top . . . tysiąc sto yardów.*

Lektor III: /Pauza/ *Kąt celowania — lewo osiem. Na kurs trzysta trzy.*

Lektorka: *W największym napięciu dowódca wyczekuje na moment, w którym cel znajdzie się w centralnym punkcie peryskopu.*

Lektor II: *Pierwsza torpeda — pal!*

Efekty: /Wystrzelenie torpedy/.

Lektor I: /przez telefon pokładowy/ *Odpalone!*

Lektor II: *Druga pal.*

Efekty: /Wystrzelenie torpedy/.

Lektor I: /do telefonu pokładowego/ *Odpalone!*

Lektorka: /Pauza/ *Złowrogie bruzdy na powierzchni morza znaczą ślad torped. Trafią, czy nie trafią? Upływa kilkadziesiąt sekund. Załoga w podnieceniu czeka — czeka i słucha.*

Efekty: /Dwa głuche wybuchy/.

Lektor II: *Obie trafiły! Statek tonie!*

Lektor I i III: /z odległości/ *Hurra! Hurra!*

Muzyka: /Przejście triumfalne/.

Lektorka: *A potem? Potem długie, nieskończone chwile dla załogi. Chwile, w ciągu których każdy szmer urasta w trzask bezpiecznika bomby głębinowej — chwile, w ciągu których wibracja własnych motorów urasta w huk, prowokujący uszy podsłuchu wroga, każda sekunda . . .*

Lektor I: *Wiadomo, każda sekunda wlecze się jak . . . mucha po mazi.*

Lektorka: *A kiedy po dłuższej chwili wynurzyli się na głębokość peryskopową, w tak zwanej "centrali" zapanowała cisza. Obecni śledzą reakcje na przywartej do okularu twarzy dowódcy. Słów mało — ale w jednym skurczu mięśni wyrażony jest odwet za "Orła" i "Orkana", za "Piłsudskiego" i "Warszawę".*

Muzyka: /Przejście zwycięskie./

Lektorka: *A oto dlaczego pewnego poranka naszyto skrzyżowane szpady na protokólarnej fladze okrętu Rzeczypospolitej "Dzik".*

Efekty: /Burza na morzu/.

Lektor II: *Byliśmy wtedy na Morzu Egejskim. Noc była jasna przy silnym wietrze i wysokiej fali. Obserwacja trudna. Szliśmy kursem południowym. Byliśmy wynurzeni. Wtem oficer wachtowy zameldował.*

Lektor I: /przez telefon pokładowy/ *Przed nami duży szkuner. Idzie pełnym wiatrem w naszym kierunku.*

Lektorka: *Wydęte białe żagle szkunera świeciły jasno na tle morza. Żaglowiec był bardzo podobny do niemieckich okrętów pułapek, które mając niewinny wygląd żaglowca, kryją wiele niebezpieczeństw dla okrętów podwodnych.*

Lektor II: *Dowódca postanowił zanurzyć się. Dalszą obserwację prowadziliśmy z peryskopu. Gdy szkuner zbliżył się, dowódca określił statek, jako niemiecki szkuner handlowy, na który nie warto było poświęcić torpedy. Wynurzyliśmy się.*

Efekty: /Burza na morzu, po czym pojedyncze wystrzały/.

Lektor II: *Po kilkunastu strzałach kadłub szkunera chybotał się bezradnie na fali.*

Efekty: /Burza na morzu/.

Lektor III: /z pewnej odległości/ *Oddział abordażowy za mną.*

Efekty: /Burza na morzu — trzymać jako tło/.

Lektor I: *Panie poruczniku. Ani jednego Niemca nima . . . Wszystkie powyskakiwały za strachu. Ale znalazłem salami i świeże jaja . . .*

Lektor II: *Panie poruczniku. Mam masło, karabiny i trzy worki listów.*

Efekty: /Wichura, potem ryk krów/.

Lektor III: *A cóż to takiego?*

Efekty: /Wichura i ryk krów/.

Lektorka: *Okazało się, że w ładowni szkunera było około trzydzieści krów z cielakami. Kiedy, mimo najlepszych chęci marynarzy, trzeba było ładunkiem dynamitu posłać szkuner wraz z krowami na dno — chorąży mechanik pospolicie zwany "Kurczę Pieczone" — oświadczył:*

Lektor II: *Zawsze mówiłem, że ten nasz "Dzik" ma felerną konstrukcję. Nawet do transportu rogacizny się nie nadaje.*

Muzyka: /Przejście żartobliwe/.

Lektorka: *A na zakończenie przytoczymy orginalny sygnał przesłany ORP "Sokół" przed jego wyruszeniem na patrol przez kapitana G.S., R.N. brytyjskiego dowódcę flotylli okrętów podwodnych. Sygnał zaopatrzony w nagłówek: "Very secret" brzmiał:*

Lektor I: *"Wykonujcie zadanie według rozkazów i pamiętajcie o następującej bajeczce o młodym i starym byku.*

Młody byk poszedł do starego byka i rzekł: Przeskoczmy ten płot i pójdźmy sobie do jednej z tych jałówek. Na co stary byk odparł: Nic podobnego. Przejdziemy przez furtkę i pójdziemy do nich wszystkich.

A za tym nie zapalajcie się zanadto. Macie dużo czasu. Nie ryzykujcie tam, gdzie nie potrzeba". Podpisano, Dowódca Flotylli, Kapitan G.S. R.N.

Muzyka: Zakończenie.

L. R. IŻYCKI

ZESTAWIENIE TREŚCI ZA ROK 1944

ARTYKUŁY PROGRAMOWE

Badeni Jan: Niewyklute pokolenie, 5. zob. **De Vincenz Andrzej**: Jeszcze o "Niewyklutym pokoleniu" /list/, 21. **Nievelt Mieczysław**: W sprawie artykułu o "Niewyklutym pokoleniu" /list/, 23.

Bogusławski Antoni: Na "Święto Żołnierza", 32.

Bulsiewicz Tadeusz Jerzy: Piszę tylko do rannych, 49. — Rozmowa z obcą panią, 51-52.

Czudowski Adolf: Jaką Polska ma być, 40.

Grabowski Zbigniew: Potrzeba nowej wizji, 11. — Klucz Przyszłości, 16. — Podstawy wspólnoty, 21. — Granica zwycięstwa, 43.

Janowski Aleksander: Wojna o prawo, 8. — Polski punkt widzenia, 9. — Cassino, 21. — "Wola rzeczywistej siły", 22.

Jastrzębski Żygmunt: Dwa wrześnie, 35.

Karski Jan: Kraj i emigracja, 7, zob. **Lewkowicz Karol**: Przeciwko groźbie elitaryzmu /list/, 10 i **Gąsiorowski F. G.**: W sprawie oceny emigracji /list/, 26.

Konny Artylerzysta: Truciciele i tchórze, 50.

Kukiel Marian: "Z ziemi włoskiej . . .", 8.

Kwiatkowski Michał: Wolność człowieka, 23.

Leitgeber Witold: Niepokój naszych czasów, 18. — Danina krwi i wkład idei, 47, zob. **Janta Aleksander**: Nasza danina krwi jest większa /list/. 48.

Nagórski Zygmunt, jr.: Dnie i godziny, 13. — Sprostowanie, 17. — Osobliwa chwila, 20.

Nałęcz Władysław: Zwycięska broń, 32.

Pomian Andrzej: Polityka i krew, 32. — Wolność jest jedna, 36.

Sieczkowski T. E.: Symbol, 28.

Sosabowski Stanisław: "Powstań Polsko", 28.

Szurlej Stanisław: Proste drogi, 14-15. — Bóg się rodzi, 51-52.

Terlecki Tymon: Na progu, 1. — Polska walcząca we Francji, 40. — Po pięciu latach, 48.

Winiewicz Józef: Niepodległość, 45.

Zboiński Zbigniew: Jeszcze w sprawie stosunku emigracji do Kraju /list/, 12.

Żurowski Stefan: Wielka próba, 3.

Zagadnienia ustrojowe /przedruk z nr. 12 /116/ "Wiadomości Polskich" wydawanych w Kraju/, 44.

ARTYKUŁY I PRZEGLĄDY POLITYCZNE

Bogusławski Antoni: wczoraj i dziś Francji, 37.

Boray Aleksander: Widnokrąg Europy, 17. — Co zrobić z Niemcami, 46.

Chowaniec Czesław: Francja oporu i Francja walki, 40.

Doddies Andrzej: Bałtyk i przyszła Europa, 27.

Dominik H. S.: Przed wyborami w Stanach Zjednoczonych, 43.

Dziewanowski, M. K.: Przemiany amerykańskie, 43.

Grabowski Zbigniew: Szkic sytuacyjny, 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14-15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31. — Wschodnie oblicze Niemiec, 2. — Nie tylko sprawa granicy, 4. — Rola Francji, 50.

Janowski Aleksander: Na marginesie ostatnich oświadczeń, 2. — Po tygodniu, 3.

Mally Fryderyk: Bitwa na Ukrainie, 3.

Nieduszyński Tadeusz: Rozbrojenie Niemiec, 12.

Pragier Adam: T.zw. "Linia Curzona", 4. — Granica polsko-niemiecka, 14-15.

Stankiewicz Władysław: Pax Britannica, 19.

Winiewicz Józef: Niemcy w ofensywie, 9. — Anglia i Europa, 14-15. — Jak pokonać Niemców, 25. — Co ma uratować Niemcy, 29. — Dogorywanie III-ej Rzeszy, 33. — Przyszłość "piątej kolumny", 42.

OPERACJE WOJENNE

Boray Aleksander: Przegląd tygodniowy, 50.

Dominik, H. S.: Rozmaitości wojskowe, 6, 11.

Ginsbert Julian: Wojna na morzu, 1, 3, 5, 7, 10, 12, 14-15, 17, 19, 21, 23, 25, 27, 29, 31, 33, 35, 37, 39, 42, 44, 46, 49. — Po zatopieniu "Tirpitza", 47.

Gordon, M. J.: Nowości lotnicze, 2, 4, 6, 8, 11, 13, 16, 18, 20, 22, 24, 26, 28, 30, 32, 34, 36, 38, 41, 43, 45, 48, 50. — Po zatopieniu "Tirpitza", 47.

Grabowski Zbigniew: Szkic sytuacyjny, 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14-15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31.

Hinterhoff Eugeniusz: Co dalej na Wschodzie, 24. — Katastrofa "Wehrmachtu" na Wschodzie, 32.

Kapitan Nemo: Dlaczego biją się tak dobrze , 19. — Ostrożnie z nadoptymizmem, 39.

Nagórski Zygmunt, jr.: Bitwy o Wilno i Lwów, 31.

Nowicki Bronisław: Inwazja na kontynent, 2. — Inwazja kontynentu, 24.

Triarius: Przegląd tygodniowy, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47.

Urbanowicz Witold A.: Przed inwazją Europy, 22. — Lotnictwo amerykańskie w Chinach, 31.

Wroński Bohdan: Panowanie na morzu, 6.

Zastępca: Przegląd tygodniowy, 48, 49.

ARTYKUŁY HISTORYCZNE

Bogusławski Antoni: W Hotelu Danube, 42.

Ciołkoszowa Lidia: Jak zginął Stefan Okrzeja /list/, 47, zob. **Bogusławski Antoni**: Sprostowanie do sprostowania /list/, 49.

Górka Olgierd: Konstytucja i Uniwersał, 19.

Hinterhoff Eugeniusz: O kampanii wrześniowej, 42.

Jastrzębski Zygmunt: Ćwierćwiecze Traktatu Wersalskiego, 27.

Kochański Ludwik: W sprawie początków i społecznego charakteru hitleryzmu /list/, 18.

Kukiel Marian: "Z ziemi włoskiej . . .", 8. — Kościuszko, 19. — Żołnierska śmierć, 26.

Meissner Czesław: Jak Wielkopolska wróciła do macierzy, 2.

Oppman Edmund: Tradycje armii podziemnej, 34. — "Tu bije serce Polski . . .", 38.

Tyszyński Henryk: W sprawie artykułu o Konstytucji 3-go Maja /list/, 22.

MATERIAŁY DO HISTORII OBECNEJ WOJNY

KAMPANIA POLSKA

Kurcz F. S.: Atak Brygady Maczka na Zboiska pod Lwowem, 35.

Łaszkiewicz Stefan: Dwaj jeńcy niemieccy, 32.

Sosabowski Andrzej: Obrona Brześcia nad Bugiem, 35.

Winiewicz Józef: Oblężenie Warszawy w 1939 roku, 41.

Wiślicki Krzysztof: 6 Pułk pod Suchowolą, 35.

Wspomnienia z Kampanii Wrześniowej w Polsce, 35.

KAMPANIA FRANCUSKA

Gruca Stefan: Polskie kompanie przeciwpancerne w kampanii francuskiej 1940 r., 13.

Jordanowski Stanisław: Jeszcze o polskich kompaniach ppanc. we Francji /list/, 19.

Kurnatowski Brunon: W sprawie polskich kompanii ppanc. w kampanii francuskiej /list/, 16.

Lipiec Michał: My idziemy do Warszawy, 25.

Łaszkiewicz Stefan: Z pamiętnika pilota myśliwskiego: 1940: Casablanca, 1.

Paprocki J. Stanisław: W dniu rozwiązania Dywizji, 25.

Piotrowski Marian: Sztandary polskie z Arras, 40.

Stolarek Kazimierz, ks.: W sprawie pobytu Gen. Ducha w Nancy w r. 1940 /list/, 47.

W rocznicę walk I Dywizji Grenadierów, 25.

KAMPANIA NORWESKA

Szaszkiewicz Cezary: Ksiądz Król — kapelan Brygady Podhalańskiej, 21.

BITWA O WIELKĄ BRYTANIĘ

Porucznik Herbert: IV rocznica "Bitwy o Wielką Brytanię", 38.

Sokołów Florian: Dwie wizyty u naszych myśliwców, 37.

KAMPANIA WŁOSKA

Bau Zdzisław: Na froncie włoskim, 18.

Bazarewski Jerzy: Idziemy do zdobytego klasztoru, 23. — Jesteśmy nad Adriatykiem, 32. — W Anconie, 33.

Brauliński: List komandosa /list/, 16.

Brzeski Ludwik: W wyzwolonej Anconie, 47.

Choma Władysław: Z Pescary ku Anconie, 31.

Domański Witold: Wizyta w Dywizji Karpackiej, 21. — Marsz do Cesano, 42.

Drzewica Maciej: Ostatni patrol rtm. W., 13.— Patrol polskich komandosów na Ateletta /Korespondencja własna/, 16.

Fajans Roman: Z gen. Andersem u Ojca Świętego /Korespondencja własna/, 32.

Giełdziński Henryk: Dni włoskie, 19.

Haleda Andrzej: Polskie czołgi we Włoszech, 27.

Jachimowicz Jerzy: Na komandosowskim szlaku /Korespondencja własna/, 10.

Jerzycz: Mój pierwszy patrol /Korespondencja własna/, 9. — Słabe odgłosy, 13. — Wypad komandosów na Casa Nuova, 34.

Mossin Ryszard: We włoskim porcie /Korespondencja własna/, 10.

Natanson Adam: Pierwsza depesza, 9.

N.Ż.: Polscy komandosi walczą, 8.

Sądek Nikodem: Dzień "D" /Korespondencja własna/, 46.

Sikorski Wacław: Z europejskiego m.p., 11.

Strumph-Wojtkiewicz Stanisław: Cztery bitwy o Cassino, 22.

Wedow Janusz: Czołgi na wzgórzu 228, 32. — Znowu w Apeninach /Korespondencja własna/, 48.

Weiss Przemysław: Bitwa o Piedimonte, 26.

Zajączkowski Tadeusz: Na apenińskich stokach i graniach, 20.

Znowski Bogdan, Zenon: Saperzy Karpaccy torują drogę, 47.

Żaba Jarosław: Lwowiacy atakują wzgórze "Widmo", 24.

Żurowski Stefan: Pierwsi żołnierze sławni Europy . . . /list/, 25.

Front włoski, 24.

Komandosi polscy we Włoszech, 13.

Naczelny Wódz na froncie włoskim, 33.

Na froncie włoskim, 17.

Polacy na ziemi włoskiej, 11, 16.

Z frontu włoskiego, 20, 47.

Żołnierze polscy we Włoszech, 9, 10.

INWAZJA EUROPY

Błaszczak Stanisław: List Francuza /list/, 49.

Bobak Karol: Z walk Dywizji Pancernej we Francji, 37. — Stary i młody las; Listy żołnierzy z pola walki, 46.

Feldhuzen Maciej: Nadeszła nasza kolej! /Korespondencja własna/, 34. — Na polskim lotnisku we Francji /Korespondencja własna/, 34. — Na okupowanej ziemi Niemiec /Korespondencja własna/, 45.

Horko Tadeusz: O żołnierzach Dywizji Pancernej, 51-52.

Janta Aleksander: Z notatnika, 49. — Mój czołg nazywał się "Poznań", 51-52.

Kiersnowski Ryszard: Droga do Falaise /Korespondencja własna/, 33. — Polowanie na pantery /Korespondencja własna/, 34. — Maczuga we krwi skąpana /Korespondencja własna/, 35. — Łzy i uśmiech Francji /Korespondencja własna/, 36. — Walczymy o wolność Belgii /Korespondencja własna/, 38. — Wiatraki naszych marzeń /Korespondencja własna/, 42. — Jego Królewska Mość /Korespondencja własna/, 47.

Łaszkiewicz Stefan: Dwaj jeńcy niemieccy, 32. — Przez ciało skrwawionej Normandii, 41.

Nagórski Zygmunt, jr.: Piękny gest Kanadyjczyków /O zdobyciu Bredy przez Polaków/ /list/, 46.

Romiszewski Eugeniusz: Polscy spadochroniarze w Holandii /Korespondencje własne/: I, Przed ostatnim startem, 41; II, 42; III, 43; IV, 44. — Szpital nagłej śmierci; Polscy spadochroniarze w Holandii /Korespondencja własna/, 47. — Kapelani z nieba /Polscy spadochroniarze w Holandii/, 49.

Stankiewicz Władysław: Aby budzić sumienie świata, 33.

Syrop Konrad: Morskie boje pancerniaków /Korespondencja własna/, 41.

Tomaszewska Halina: Wieczór na lotnisku, 42.

Tyszyński Henryk: "Leve den Polen" /Korespondencja własna/, 38.

Walentynowicz Marian: Wyprawa do wyrzutni bomb latających /Korespondencja własna/, 41. — List od wojowniczego korespondenta wojennego /list/, 45.

Zawadzki Michał: W sprawie fotoreportażu z Normandii /list/, 36.

Zgorzelski Władysław: Jak zdobyto Chambois /list/, 50.

Dywizja pancerna w Normandii, 33.

Montgomery dekoruje żołnierzy Dywizji Pancernej, 49.

Polacy na froncie zachodnim, 34.

Z frontu zachodniego, 41, 42.

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Bau Zdzisław: Skrzydła nad płonącą Warszawą /Korespondencja własna/, 48.

Giza Józef: W sprawie listu z "Błyskawicy" o Warszawie /list/, 39.

Oppman Edmund: "Tu bije serce Polski . . .", 38.

Pomian Andrzej: Polityka i krew, 32. — W dymie pożarów, 33. — Tragiczne pytania, 34. — Wolność jest jedna, 36. — Tradycja wielkości, 41.

Tatarynowicz Mieczysław: O Pomoc dla Warszawy /list/, 36.

Żmigrodzki Józef: Sztandarowe nazwiska Warszawy, 44.

POLSKIE SIŁY ZBROJNE

ARMIA KRAJOWA

Ark.-Jas.: Szturm na strażnicę, 38.

Bor.-Jas.: Radiostacja z Wykusa, 33.

Gar.-Jas.: "Planmaessig", 46.

Jas.: Braterstwo, 36. — Walka aż po śmierć, 36.

Kal. Grzeg.-Jas.: Kontrofensywa, 33.

Mar.-Jas.: Pod "czterema wiatrami", 46.

Mir.-Jas.: Oczy śmierci, 46. — Krótka droga, 46.

Nagórski Zygmunt, jr.: Polska armia podziemna: I, 3; II, 4; III, 5.

Nowak Jan: Polska podziemna mówi, 29. — "Zmarłym nieoczekiwanie . . .", 31.

Pomian Andrzej: Pod znakiem Polski Walczącej, 36.

Świadek: W magicznym kręgu, 29. — Koniec kata Warszawy, 31.

Tas.-Jas.: Na polsko-polskiej granicy, 36.

Zik.-Jas.: Panienka, 38.

Żołnierz Armii Krajowej: Walka w osłonie, 29. — Do ostatniego naboju, 31.

Pod znakiem Polski Walczącej, 36.

Polska walcząca z podziemi, 33.

Polska walczy z podziemi, 46.

Z Polski podziemnej, 29.

Z walczącej Warszawy, 31.

Z walk armii podziemnej, 38.

LOTNICTWO

Bojczuk Ludwik: Wielkanoc u "Thunderboltów", 18.

Dobrowolska Aleksandra: W Dywizjonie Ziemi Mazowieckiej, 36.

Głębocki Jerzy: Nad wielką wodą: I, 9; II, 10. — Zaskoczenie: 17.

Godlewska Leontyna: Maszyna wali w dół, 3.

Kędzierski Janusz: Lotnictwo polskie we Francji i nad Francją, 40.

Lityński Zygmunt: Historia jakich wiele, 17. — Cyrk Skalskiego, 25.

Łaski Feliks: "Służba specjalna" we Francji, 39.

Łaszkiewicz Stefan: Z pamiętnika pilota myśliwskiego: 1940: Casablanca, 1.

Nierad Gustaw: "Bodajeś cudze dzieci uczył": List do Władka, prezesa Klubu Pesymistów na temat: Blaski i nędze życia instruktora pilotażu, 3. — Szlemik bez atu "Hrabiego Olesia", 27. — Jeden dzień z nimi, 28. — Jak korespondują lotnicy /list/, 37. — Echa leśne, 45.

Płodowski Andrzej: Ojciec i syn, 18.

Porucznik Herbert: A — jak ciocia Andzia, I, 44; II, 45. — "Ferring" w Holandii, 50.

Sokołów Florian: Dwie wizyty u naszych lotników, 37.

Szczerski Feliks: Francuski sierpień polskich myśliwców, 37.

Ścibor Jan: Myśliwce z bombami, 50.

Dekoracja złotym krzyżem "Virtuti Militari", 9.

Działalność lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii: Za rok 1943, 2. — od 1 — 31 stycznia 1944, 7.

Lotnictwo polskie na Zachodzie, 50.

MARYNARKA WOJENNA I FLOTA HANDLOWA*

Adam z "Dzika": "Dzik" wchodzi do portu, 48.

Brzeski Ludwik: Marynarze żenią się w Kolhapur, 27.

Doc: Lekkie siły, 6.

Gazeł Stefan: Noc z Klarą na Atlantyku, 8. — Tygodnie, miesiące, lata . . . , 10. — Księżyc nad Nowym Jorkiem, 27. — Czterdziesta podróż, 31. — Mysz polna, 35.

Ginsbert Julian: Reportaż o Garlandzie, 11. — Polsko-francuskie braterstwo broni na morzu, 40.

Grzywicz Józef: W ostatniej minucie, 48.

Guzowski Andrzej: Ich nieudany urlop, 20. — "Bańdzie miał wpelone . . .", 37.

Iżycki R.L.: Protokół podwodniaków, 51-52.

Laskowski Janusz: Kwiaty normandzkiego brzegu, 29. — Spotkanie z Francją na "Krakowiaku", 47.

Meissner Tadeusz: S/S "Warszawa" tonie!, 45.

Mioduszewski Stanisław: Tam, gdzie "rodzą się" marynarze, 29.

Plaskota Władysław: Zmiana ról i odrobina szczęścia, 48.

Poker Jim: Ludzie z okrętów, 6.

Sikorski Stanisław: "Dragon" bierze udział w inwazji, 26. — "Pieruńsko" mnie śwaby podpadli . . .", 28. — O.R.P. "Conrad" /Korespondencja własna/, 43.

Sopoćko Eryk: Uzbrojony krążownik pomocniczy, 12.

Stocker Andrzej: Sokolęta i Warchlaki /Reportaż o polskich okrętach wojennych/, 51-52.

Szylski Jan: Na patrolu, 20.

Tatarynowicz Mieczysław: Nie "Ślązak" ale "Krakowiak" /list/, 27. — Jedna noc na Dodekanezie. Z historii O.R.P. "Krakowiak", 33.

Traper Jerzy: Torpeda zygzakuje w Biskaji, 39.

Wakl: Odyssea bojowa dwóch marynarzy, 34. — Lekarze-marynarze bojowi, 43.

Polska podwodna: 20, 48.

WOJSKO

Rostworowski Jan: O rzeczach niezmiennych, 37. — O ziemi Franciszka Kozła, 51-52.

Szperber Wacław: Widziałem ich . . . . 30.

Tomaszewska Halina: Warszawa — Spadochroniarzom, 26.

Wróblewski Antoni: Polscy artylerzyści w X . . . , 7.

POMOCNICZA SŁUŻBA KOBIET

Irwin Sophy: List do Komendantki P.S.W.K. /list/, 2.

Janicz Zbigniew: W sprawie stosunku do kobiet w mundurach /list/, 20.

Kwiatkowska Halina: Pomocnicza Wojskowa Służba Kobiet, 40.

Tomaszewska Halina: Sady kwitną na Wołyniu, 21.

RANNI

Arciszewska Zofia: Wśród rannych żołnierzy, 39.

Bulsiewicz Tadeusz Jerzy: Piszę tylko do rannych, 49. — zob. **Żurowski Stefan**: Błękitny ton /list/, 50. — Rozmowa z obcą panią, 51-52.

Wasilewski Antoni: Widzowie z teatru wojny, 39.

Do rannych żołnierzy, 36.

Należności żołnierzy rannych w szpitalach brytyjskich, 38.

Opieka nad rannymi żołnierzami z Włoch i Francji, 39.

ŻYCIE UMYSŁOWE ŻOŁNIERZY

Appel Tomasz: List marynarza Żyda /list/, 21.

Bojczuk Ludwik: Opłatek żołnierski Polaków z zagranicy, 2. — Archiwum Polskich Sił Zbrojnych, 14-15.

Budzik Wojciech: O książkę dla żołnierza w polu i w szpitalu /list/, 49.

Górski Jerzy: W sprawie audycji żołnierskich /list/, 17.

Janowski Aleksander: Dwunasty maja, 20.

Jaworski Antoni: W sprawie tytułowania /list/, 1.

Jędrczak Ryszard: W sprawie braku podręczników w II Korpusie /list/, 35.

Lach Adam: List z Włoch /list/, 49.

Laskowski Janusz: Amerykański uśmiech /Zjazd ochotników z Ameryki i Kanady — żołnierzy W.P./, 20.

Lewkowicz Karol: Chcę iść na front /list/, 2.

Machowicz Jan: O funduszach koleżeńskich /list/, 19.

Słaby Wilhelm: Podziękowanie z Afryki Południowej /list/, 35.

tt: Zjazd byłych jeńców, 5.

Apel redakcji "Skrzydeł", 7.

Fundusz Społeczny Wojska, 18.

"Lwowska Fala" na tamtym brzegu, 46.

Redakcja "Skrzydeł": Lwów i Liverpool /list/, 44.

Wotum "Lwowskiej Fali", 12.

FORMACJE WOJSKA POLSKIEGO POZA EUROPĄ

ARMIA POLSKA NA WSCHODZIE

Juralewicz Gerard: List z pustyni /list/, 9.

Fajans Roman: Piramidy znów piszą historię /Korespondencja własna/, 1.

Fudakowski Zygmunt: Z Naczelnym Wodzem na Wschód, I, 4; II, 5.

Pniewski Tadeusz: Szkraby i dryblasy, 14-15. — Pensjonarki w mundurach /Korespondencja własna/, 18. — Junacy wystawiają Halkę, 20. — Kapliczka na rozstaju dróg, 22.

Wojtyga Adam: Apewu I, 9; II, 11; III, 12; IV, 13.

Junacy na Wschodzie, 22.

Polacy na Środkowym Wschodzie, 20.

POLACY W BRYTYJSKIEJ AFRYCE ZACHODNIEJ

Blusiewicz Ryszard: Polacy w Afryce Zachodniej /list/, 7.

Hubert: Hubert in Wonderland, 25.

POLACY W BURMIE

Blusiewicz Ryszard: Dwa listy z Burmy, 30.

Boenisch Mieczysław: Dwa listy z Burmy, 30.

POLSCY FERRY-PILOTS

Pomian Bolesław: Toast, 14-15. — Ocean — Pustynia — Dżungla, Cz. I. Ocean, 38; Cz. II, Pustynia Północnej Afryki, 43; Cz. III, Pustynia Arabii, 48; Cz. IV, Pustynia Baluchistanu, 51-52.

POLSKIE TRADYCJE WOJSKOWE

Dziewicki Feliks: W sprawie historii Ułanów Krechowieckich /list/, 49.

Konny Artylerzysta: Trzeci sierpnia, 31.

Kukiel Marian: "Z ziemi włoskiej . . .", 8. — Kościuszko, 19.

PRASA WOJSKOWA

Bau Zdzisław: Prasa żołnierska na froncie wschodnim, 20.

Bobak Karol: Gawędy żołnierskie, 27.

Bob.: W rocznicę "Pomyślnych Wiatrów", 28.

KSIĄŻKI O WOJNIE I O WOJSKU

Bogusławski Antoni: Dowódca i podwładny, 32.

Fudakowski Zygmunt: Pożyteczna broszura, 6.

Grabowski Zbigniew: Porucznik Herbert po angielsku, 49.

Kurzawa Jan: Wspomnienia byłego jeńca, 11.

Neuman R. M.: W sprawie albumu fotograficznego Brygady Podhalańskiej /list/, 6.

Przygodska Maria: Z książek o marynarce wojennej, 33.

Romiszewski Eugeniusz: W sprawie broszury "Abbey is ours" /list/, 27.

Rutczyński Kazimierz: Album Sił Zbrojnych, 28.

Sadowski Tadeusz: "The Eighth Army", 17.

Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich: 36, 38, 41, 44, 46, 47, 50.

Szaszkiewicz Cezary: Jeszcze w sprawie albumu Brygady Podhalańskiej /list/, 7. — Kampania norweska, 34.

Zbyszewski Karol: Książka spóźniona o trzy lata, 3.

ROZKAZY, PRZEMÓWIENIA, LISTY OFICJALNE

Prezydent R.P. Raczkiewicz Władysław: Rozkaz do Polskich Sił Zbrojnych, 40. — Rozkaz o wzięciu gen. Bora do niewoli, 41.

Naczelny Wódz gen. Sosnkowski Kazimierz: Przemówienie do Krechowiaków, 33.

Odezwa Rządu R.P. do Polaków zamieszkałych we Francji, Belgii i W. Ks. Luksemburgu, 44; 45.

Minister Obrony Narodowej gen. Kukiel Marian: Rozkaz o żałobie narodowej, 41.

Dowódca II Korpusu gen. Anders Władysław: Życzenia dla I Dywizji Pancernej, 51-52.

---

* W tym połączeniu, które zachowujemy podobnie, jak w latach poprzednich — jest dowolność, podyktowana względami praktycznymi. Usprawiedliwia ją rozkaz Naczelnego Wodza, traktujący służbę na statkach handlowych w czasie wojny jako służbę żołnierską i liniową.

ŻYCIE KRAJU POD OKUPACJĄ

Brzeska Maria: Polska — żywymi oczami: Powszedni dzień terroru, 6; Życie ulicy, 7; Wobec wydarzeń wojennych, 8; Dziecko i matka, 10; Kobieta w walce, 11; W domu, 12; Z Niemcami pod jednym dachem, 14-15; Humor w dniach grozy, 17; "Wsi spokojna, wsi wesoła . . .", 22; Pożywienie, odzież, opał, 26; Stosunki komunikacyjne, 28; Wysiedlenia, [illegible] — Wigilia w Gen.-Gub., 51-52.

Gazda Gustaw: Śląsk pod okupacją gospodarczą, 2.

Karski Jan: Podziemna opinia publiczna, 1.

Pomian Andrzej: Pięć lat walki z okupantem w Polsce, 40. — Warszawska Gwiazdka, 51-52.

Żywoń Edward: "Z pierwszej linii frontu", 5.

POLACY, JEŃCY Z ARMII NIEMIECKIEJ

Błaszczak Stanisław: Jak rozstałem się z wrażą służbą, 44.

Czeczott Michał: Polacy w niemieckich mundurach, 6.

Hawlena Stefan: "Franz" — Franek, 18.

Pawlak Leon: Jeden z "Normandczyków" pisze /list/, 35.

Ślązak Jan: Historia jedna z wielu, 44.

Terlecki Tymon: Jeńcy z Normandii, 30.

Wasilewski Antoni: Byłem na Linii Zygfryda, 44.

Wyzwoleni z niemieckiego munduru, 44.

UCHODŹSTWO POLSKIE Z Z.S.R.R.

Skąpski Adam: Polskie dzieci na tułaczych szlakach, 8.

POLACY W NIEWOLI I W OBOZACH INTERNOWANYCH

Brzeski Ludwik: Trzy lata w obozie internowanych, 11.

Janta Aleksander: Teatr jeniecki, 4. — Na jenieckim szlaku: Wgłąb Niemiec I, 8; II, 9.

POLONIA ZAGRANICZNA

Bahyrycz F.B.: Zygmunt spod Lens dokonuje wyboru, 40.

Bogusławski Antoni: Po czterech latach na kontynencie /Wywiad z Ministrem Obrony Narodowej/, 50.

Dziewanowski M. K.: Lwów — Sao Paulo, 24.

Feldhuzen Maciej: Spotkania na francuskim szlaku, 39.

Kapiszewski Henryk: Polonia zachodnio-europejska, 40.

Komorowski Wacław: List z Argentyny /list/, 30.

Laskowski Janusz: Amerykański uśmiech /Zjazd ochotników z Ameryki i Kanady żołnierzy W.P./, 20.

Łaszkiewicz Stefan: Rozsypane liście, 49.

Leitgeber Witold: Polonia francuska w podziemiach, 49.

Nagórski Zygmunt, jr.: "Dwie emigracje", 39. — Jeszcze w sprawie artykułu "Dwie emigracje" /list/, 44.

Pleśniak Władysław: List z Argentyny /list/, 33.

Rainer Leo: List z Ameryki /list/, 30.

Roski Dzim: List z Brazylii, 24.

Śliwa Wojciech: Po raz drugi w służbie dla Polski, 40.

Wójcik Władysław: O udziale wychodźstwa w odbudowie Polski /list/, 2.

Żywoń Edward: W sprawie artykułu: "Dwie emigracje", 41.

ŻYCIE RELIGIJNE, SPOŁECZNE, POLITYCZNE I KULTURALNE EMIGRACJI W WIELKIEJ BRYTANII

Gąsiorowski F. G.: W sprawie oceny emigracji /list/, 26.

Gorządek Wiktor: W sprawie rozbudowy floty rybackiej /list/, 39.

Jakubowicz Kazimierz: Nie Kamienne ale Kamienna /list/, 6.

Janicz Zbigniew: W sprawie wychowania młodzieży dla dzieła pokoju /list/, 28.

Konny Artylerzysta: O właściwy stosunek do przeszłości, 19.

Kowal Adam: Prawo własności owoców padających na cudzy grunt /list/, 47.

Kurkiewicz Jan: Więcej informacji o Polsce /list/, 9.

Lewkowicz Karol: Przeciwko groźbie elitaryzmu /list/, 10.

Miczko Piotr, ks.: Z powodu rocznicy Ślubów Jasnogórskich /list/, 25.

Nagórski Zygmunt, jr.: W sprawie zamknięcia "Wiadomości Polskich" /list/, 8.

Radoński Karol, Bp.: 50-lecie Misji Katolickiej w Londynie /list/, 48.

Szczuka Józef: W dwu sprawach nierównej wagi: w sprawie godzin urzędowych i zbiórki na Polaków w Rosji /list/, 17. — Zużyte znaczki na cele dobroczynne /list/, 49.

Sz-ska Ewa: Jeszcze w sprawie stosunku do kobiet /list/, 26.

Witold Alina, dr.: W sprawie godeł państwowych /list/, 29.

Wójcik Antoni: List, 6.

Zahaw Tadeusz: O propagandowe wyzyskanie materiałów o walce, życiu i działaniu Kraju /list/, 3.

Konkurs na utwór sceniczny, 9, 10, 16.

Lotna biblioteka Zrzeszenia Studentów Polaków w Wielkiej Brytanii /list/, 7, 26.

Odezwa Biskupów Polskich /w sprawie nowenny do Św. Andrzeja Boboli/, 19.

Rozstrzygnięcie Konkursu Związku Dziennikarzy R.P. na reportaż bojowy, 49.

POLSKIE CELE WOJENNE

Doddies Andrzej: Bałtyk i przyszła Europa, 27.

Markotny Wit: Miasto miłe i zawsze wierne, 5. — " . . . Co w Ostrej świecisz Bramie", 11.

Oporny Kazimierz: O pełne polityczne wyzyskanie trudu żołnierzy, 48.

Rudnicki Józef: Ziemia zagrożona, 9.

POLSKA I NARODY SPRZYMIERZONE

Bojczuk Ludwik: Rozmówki z aliantami, 10. — "Through Polish Eyes", 13.

Cooper Stormont: W sprawie nawiązania korespondencji angielskiej /list/, 35.

Hardwick G.: Głos sympatii angielskiej /list/, 36.

Kerr Jan: Antoni przyjaciel Normana, 50.

Robertson-Bain Frances M.: Podziękowanie Anglika /list/, 1.

Romiszewski Eugeniusz: Serce na codzień, 50.

Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich, 36, 38, 41, 44, 46, 47, 50.

Wilfred E.: List Amerykanina /list/, 28.

U ALIANTÓW I W WOJSKACH ALIANCKICH

Dominik H. S.: Kanada walcząca, 28.

Dziewanowski M. K.: Gdy Berlin leży w gruzach, I, 16; II, 17.

Fajans Roman: U dowódcy frontu włoskiego, 30.

Feldhuzen Maciej: Na okupowanej ziemi Niemiec, 45.

Hartman Leopold: Pochwała Nowej Zelandii, 23.

Hawlena Stefan: List z Włoch, 2. — Montgomery wśród spadochroniarzy /korespondencja własna/, 7.

Karniol Maurycy: Atak na Stockholm, 23.

Kochański Ludwik: Podziemna Holandia, 24.

Krygier Ryszard: Wojna na Pacyfiku, 3.

Lityński Zygmunt: Powrót do Francji, 32.

Łaszkiewicz Stefan: Amerykanie na gruncie europejskim, 16. — Z dywizjonem amerykańskim, 30.

Pomian Bolesław: Piosenki 8-ej Armii, 12.

Pruszyński Mieczysław: Viscount Archibald Wavell of Cyrenaica and Winchester, 7.

Sokołów Florian: Unia Południowo-Afrykańska, 25.

Szperber Wacław: Lekarz na froncie bojowym /na podstawie opowiadań amerykańskich lekarzy wojskowych/, I, 21; II, 22.

Tomaszewska Halina: U lotników z U.S.A., 5.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE

Blit Lucjan: Bohater Ghetta — kawaler "Virtuti Militari", 21.

Bogusławski Antoni: "Kapral Szczapa", 26. — Rycerze Chrystusowi, 49.

Ginsbert Julian: Eryk Sopoćko, 12.

Popławski Włodzimierz: Ś.p. Tadeusz Kiełpiński, 18.

Rostworowski Jan: Przyjacielowi — gdy odszedł, 35.

Szaszkiewicz Cezary: Ksiądz Król — kapelan Brygady Podhalańskiej, 21.

Szef Wydziału Prac Kulturalno-Oświatowych M.O.N.: Ś.p. ppor. art. Wacław Morawski, 36.

Szwarc Marek: Jeden z wielu /o Michale Goldinie/, 41.

Terlecki Tymon: Eryk Sopoćko, 12.

Wasilewski Antoni: Ś.p. ks. Konstanty Pogłódek, 34.

WIERSZE, PIEŚNI I PROZA POETYCKA

Bazarewski Jerzy: Kompania piechoty, 48.

Bogusławski Antoni: Opłatek, 51-52.

Appel Tomasz: Barykada, 41.

Breowicz Wojciech: Transport ochotników polskich z Brazylii /list/, 1.

Broniewski Władysław: Wszystko nam jedno . . . , 3.

Czuchnowski Marian: Bardzo miłej, 27. — Do przyjaciół, 47.

Grelichowska Mira: Co wiem o Lwowie, 4.

Faczyński Jerzy: Czarna ofiara, 48. — Pieśń pątników /z poematu Fresk Maryjny/, 51-52.

Hemar Marian: Maj we Lwowie, 18. — Wigilia, 51-52.

Ilińska Zofia: Kobietom Warszawy, które Niemcy pędzili przed czołgami, 45. — Sprostowanie, 46. — Żniwiarz, 48.

Iwaniuk Wacław: Purpurowy rejs, 1.

Janta Aleksander: Milczysz, 16. — Blackout. Szkic poematu, 51-52.

Kiersnowski Ryszard: Wizja Bosmana, 6. — Ewangelia żywych, 9. — Albo . . , 11.

Kotwicz: Dwie fraszki lotnicze: Kraksa, Rzucało, 21.

Lis Jacek: Fraszka historiozoficzna, 47.

Lisiewicz Mieczysław: Cisza, 27.

Miłobędzki Józef: Do orła białego, 39.

Or-Si: Gwiazdy komandosa, 13. — Fraszki flamandzkie, 42. — Fraszki wojenne, 44.

Pawlikowska Maria: Jesień nasza, Złoto jesienne, 7. — Westchnienie, Fatamorgany, Poczta na obczyźnie, Telegraf, Biały kwiat, Marność tęczowa, Na księżycu, 19. — Wiersze o Krakowie: Błonia, Planty, Ogród Botaniczny na ul. Kopernika, Prawa Ogrodu Botanicznego, O śniegu w lecie, 28. — Piąty żywioł, Chwasty morskie, Wierzba przydrożna, 51-52.

Pawlikowski Mieczysław: Modlitwa, 48. — Gość na bombowcu, 49.

Romiszewski Eugeniusz: Znaczek pocztowy, 7. — Spadochroniarze, 37.

Rostworowski Jan: Litania, 40. — Pacierz Warszawy, 44. — Do żony w Kraju, 47. — Listopad, 50. — Do dzieci, 51-52.

Terlecka Halina: Pytania nocne, 7.

Ujejski Kornel: ***, 42.

Wierzyński Kazimierz: Jerycho, Teby, Strofa o wolności, 35.

Rezurekcyjne dzwony: 14-15.

Z pieśni zbrojnych /wydanych w Warszawie/: Naprzód do boju żołnierze, A za twoje, bracie, trudy, Piosenka, 29.

PROZA BELETRYSTYCZNA

Grobicki Jerzy: W traktierni na Via Archimede, 14-15.

Hemar Marian: Zbyszek, 19.

Porucznik Herbert: Doppelfenster, 16. — A — jak ciocia Andzia, I, 44; II, 45.

FELIETONY

Budzyński Wiktor: Bez blackoutu, 1, 4, 5, 6, 7, 9, 10, 12, 13, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 29, 30, 31, 39.

Grubiński Wacław: Rękopis sprzed 1846 lat, 51-52.

Zbyszewski Karol: Ślepograty warczą nad Londynem, 31.

HUMOR

Kom'iczna: Pierwsze spotkanie z piecykiem, 9.

Tony: Werinajsek, 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14-15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51-52.

"Dni kultury niemieckiej w Polsce" /z prasy podziemnej/, 46.

Humor Polski Podziemnej /przedruki z prasy tajnej/, 17.

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50.

RYSUNKI I FOTOMONTAŻE

Borysowicz Zdzisław: Zmartwychwstanie /linoryt/, 14-15. — Rysunek, 27.

Faczyński Jerzy: Przed startem, 17. — 2 rysunki, 34. — Warszawa, 41. — Rysunek, 45, 51-52.

Gliwa Stanisław: 3 linoryty z Włoch, 46.

Gotlib Henryk: Stabat Mater /reprodukcja obrazu/, 37.

Horowicz Artur: Na drodze czołgu, 5. — W podziemnej drukarni, 7. — Wykopywanie miny, 13. — Rozbite stanowisko wroga, 19.

Konarska Janina: Rysunki do artykułów: Toast, 14-15 i "Ocean — Pustynia — Dżungla" Bolesława Pomiana, 38, 43, 48, 51-52.

Kopczyńska-Sadowska Krystyna: Herb Wilna, 11. — Herby miast polskich, 14-15.

Lipski Tadeusz: Ozdobniki, 40.

Maciąg Otto: Do stajenki /linoryt/, 1.

Mirecki Władysław: Gen. Sikorski /linoryt/, 26.

Osiecki Stefan: Ozdobniki do: poematu "Purpurowy Rejs" Wacława Iwaniuka, 1; do opowiadania "W traktierni na Via Archimede" Jerzego Grobickiego, 14-15. — Rysunek, 40. — Rysunki, 51-52.

Poliński Jan: Obrońcy Warszawy żyją /fotomontaż/, 35.

Rościszewski Jan /Tom Titt/, Wavell /karykatura/, 7.

Ruszkowski Zdzisław: Atak na Cassino /akwarela/, 22. Poręba Adam: W sprawie rysunku "Atak na Cassino" /list/, 25. — Obrona Warszawy, 35.

Turkiewicz Zygmunt: Generał Anders, 42.

Walentynowicz Marian: Przed barakiem, 18. — Motocyklista, 20. — Eisenhower, Montgomery, 24. — Marszałek Smuts, 25. — Gen. Alexander, 30. — W ogniu, 31. — Rysunek, 33. — Wyrzutnia bomb latających, 41.

Wart Andrzej: Kierowca czołgu, 46.

Wasilewski Antoni: 2 rysunki do artykułu "Widzowie z teatru wojny", 39.

Ozdobniki: 1.

Rysunek satyryczny z pisma konspiracyjnego "Tygodnik Informacyjny", 14-15.

Z "Time and Tide", 19.

DOKUMENTY

Airgraph Szkota do Polki /list/, 1.

"Biedronka" — nagłówek pisma krajowego, 11.

"Biuletyn informacyjny" — nagłówek pisma krajowego, 1.

Druk ulotny, wydany przez Holendrów ku czci poległych żołnierzy Dywizji Pancernej, 49.

"Dziennik Żołnierza" — nagłówek pisma polowego 1 Dywizji Pancernej, 34.

"Dziennik Żołnierza APW" — Nagłówek pisma polowego, 20.

"Eighth Army News" — nagłówek angielskiego pisma frontowego, 20.

Generał Anders — "Polsce Walczącej" — Autograf, 42.

"Junak" — nagłówek pisma dla Ochotniczek i Junaków na Śr. Wschodzie, 22.

"Lipa" — nagłówek humorystycznego pisma krajowego, 17.

"Lipa — Szpilka" — nagłówek humorystycznego pisma krajowego, 17.

"Maple Leaf" — nagłówek brytyjskiego pisma polowego, 20.

Matka Boska Wysiedlona — obrazek i modlitwa wydane przez organizację podziemną, 29.

"Mucha" — nagłówek humorystycznego pisma podziemnego, 17.

Odręczne pismo Ministra Obrony Narodowej z okazji pięciolecia "Polski Walczącej", 48.

Rozkaz pożegnalny Gen. Leese — faksimile, 47.

"Rzeczpospolita Polska" — nagłówek pisma krajowego, 1.

"Św. Barbara" — rysunek i modlitwa, wydane w Kraju, 40.

"Szpilka" — nagłówek pisma humorystycznego z Kraju, 17.

"Union Jack" — nagłówek brytyjskiego pisma polowego, 20.

"Wiadomości Polskie" — nagłówek pisma krajowego, 1.

"W Marszu" — nagłówek pisma frontowego, 11.

"Zadra" — nagłówek humorystycznego pisma krajowego, 17.

"Żywia" — nagłówek pisma krajowego, 11.

MAPY

Afryka, 25.

Monte Cassino, 22.

Nowa Gwinea, 3.

Polacy w Belgii i Luksemburgu /Towarzystwa patriotyczne i oświatowe/, 40.

Polacy we Francji /gęstość skupień wychodźczych/, 40.

Polska, 4.

Po pierwszym tygodniu inwazji — Francja, 24.

Szkic szlaków bojowych niektórych polskich kompanii ppanc. przy francuskich dywizjach w czasie kampanii 1940 r. we Francji, 13.

OD REDAKCJI

Życzenia w dniu Święta Powrotu Polski nad Morze, 6. — Życzenia Wielkanocne, 14—15. — Życzenia dla żołnierzy w dniu otwarcia inwazji na Europę, 23. — Przypisek do artykułu "Polityka i krew" Andrzeja Pomiana, 32.

ZBIÓRKA KSIĄŻEK DLA ŻOŁNIERZY NA WSCHODZIE

Żurowski Stefan: W sprawie zbiórki książek /list/, 27.

Zestawienia zbiórki książek: 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 11, 13, 14—15, 16, 17, 19, 20, 21, 22, 24, 25, 26, 27, 28, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 43, 45, 47, 49.

ZBIÓRKI PIENIĘŻNE

A.J.S.: Apel do żołnierzy b. 14 Wlkp. Dyw. Piech. i ich przyjaciół /list/, 33.

Anstruther F. C.: Głos Angielki w sprawie zbiórki na szpital dla dzieci, im. Gen. Sikorskiego /list/, 33.

Bagińska W. — Katelbach Zofia: List Sekcji Opieki nad jeńcami /list/, 45.

Bojczuk Ludwik: W sprawie funduszu sierót po poległych w Warszawie /list/, 37.

Katelbach Zofia: Podziękowanie za "Paczki od serca" /list/, 25.

Siekanowicz Piotr: Słowo do Lwowian, 48.

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich: Czytelnicy "Polski Walczącej" dla jeńców polskich w Niemczech /listy/, 3, 6, 17, 19, 20, 29, 30, 33, 49.

Zarząd Główny P.C.K.: Wyjaśnienie Polskiego Czerwonego Krzyża w sprawie pomocy jeńcom /list/, 3.

Błękitny fundusz: 50.

Dla jeńców: "Paczki od serca: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14-15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 41, 43, 47, 50.

Dla Junaków: 1.

Dla Polaków w Rosji: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14-15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 45, 47.

Dla rannych żołnierzy: 27, 30, 35, 37, 38, 39, 41, 44, 45, 50.

Fundusz Ratowania Dzieci Polskich — Polish Children Rescue Fund: 5, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14-15, 16, 17, 19, 20, 22, 23, 24, 26, 27, 28, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 38, 39, 41, 42, 43, 45, 47, 48, 49, 50.

Fundusz Walki Czynnej z Najeźdźcą: 3, 9.

Łańcuch Ofiar: 1, 3, 5, 12.

Na "Dar Narodowy": 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 31.

Na Kaplicę polską w Monte Cassino: 42.

Na papierosy dla jeńców: 1.

Na P.C.K.: 11, 42, 45, 46, 48.

Na Polish Relief Fund: 3, 43.

Na pomoc dla Polaków w Kraju: 45.

Na pomoc Warszawie: 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50.

Na szpital dla dzieci w Polsce: 41.

Na szpital im. Gen. Sikorskiego: 29, 31, 36, 38, 42.

Na tablicę pamiątkową Matki Boskiej Westminsterskiej: 31.

Na wdowy i sieroty po poległych żołnierzach 14 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty: 21, 36, 37, 38, 39, 40, 43, 44, 45, 47, 49, 50.

Z TYGODNIA NA TYDZIEŃ

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14-15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50.

PORADNIK ŻOŁNIERSKI

10, 12, 16, 17, 18, 20, 21, 27, 28, 29, 30, 33, 35, 36, 42.

KĄCIK JĘZYKOWY

43, 45, 48, 49, 50.

Hemar Marian: W sprawie "Kącika językowego" /list/, 46.

Redaktor

TYMON TERLECKI

SEN ŻOŁNIERZA W POLU



"Lecą gwiazdeczki, lecą, świecą . . ."



WERINAJSEK

. . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

CO KOMU PRZYNIÓSŁ ANIOŁEK? . . .

Podporucznikowi czasu wojny — fosforyzującą gwiazdkę na okres black-outów . . .

Pułkownikom — kupony odzieżowe na szlify generalskie . . .

"Pestkom" — ordynansa z czekolady . . .

Kierowcom samochodów — taksometry . . .

Żandarmom — automatyczne zapinacze kołnierzy . . .

Oficerom opieki — opiekunki . . .

Żonatym — zaświadczenia rozwodowe . . .

"Polsce Walczącej" — drożdże . . .

"Werinajskowi" — kroplę humoru . . .

PO LICZNYCH AWANSACH . . .

Jeden z nowomianowanych podporuczników czasu wojny otrzymał następujący telegram: — "Gratuluję — niech cię ta gwiazdka zaprowadzi do . . . żłóbka".

ŚWIĘTA W I. DYWIZJI PANCERNEJ



"Pasterze śpiewają, bydlęta klękają . . ."

DOBRA RADA

—Tak mnie bolą zęby! Czy ma pan jakiś środek?

—Owszem — V.2! Zapewniam pana, że później już pan nie czuje bólu . . .

W HOLANDII



—Co wy tu robicie?

—Melduję posłusznie, że dzisiaj jest wigilia. Whisky musi pływać . . .

WYJAŚNIŁ . . .

—Dałem wam 3 sh. na papierosy. Mieliście kupić paczkę papierosów, pudełko zapałek i gazetę. A zatem należy mi się reszta 6 pensów. Czy już rozumiecie?

—Jeszcze nie!

—Nie udawajcie, przecież to jasne jak w "Karcie Atlantyckiej" . . .

PO NOWYCH AWANSACH



"Niech mu gwiazdka pomyślności, nigdy nie zagaśnie" . . .

Wszystkim Czytelnikom — sorry, na pierwszym miejscu: Czytelniczkom — "Werinajsek" przesyła życzenia, żeby nasze hasło: "Śmiejmy się, bo kto wie, czy wojna potrwa trzy tygodnie" sprawdziło się nawet z opóźnieniem jeszcze trzech tygodni . . .

PO AWANSACH

—Dlaczego pan jeszcze nie naszył tych trzech pasków?

—Panie kapitanie, czekam aż się święta skończą.

—Dlaczego??

—Nie chcę aby patrzyli na mnie jak na świąteczną choinkę . . .

W KOLE PAŃ

—Całą noc nie spałam! . . .

—Dlaczego???

—Stale myślałam, czy włożyłam do paczek świątecznych dla rannych — figę, czy też przez pomyłkę — nici . . .

GWIAZDKA W POLITYCE



"Jakaż to gwiazda błyszczy na wschodzie"?

OCENA

—Słyszałeś — mówi jeden z pancerniaków — Szczepko z "Lwowskiej Fali" został podporucznikiem czasu wojny!

—A Tońko?

—Jest kapralem, jak był. Jeden z nich musi być zawsze ten mądrzejszy . . .

ROZMOWA PODSŁUCHANA W LONDYNIE

—A ja panu mówię, że życie w Londynie zaczyna się po 40-tce!

—Przesadza pan, ja mam trzydzieści lat i jakoś żyję . . .

—Ale ja mówię o funtach . . .

NASI W LONDYNIE



Kolędnicy . . .

CZAS TO PIENIĄDZ . . .

W pewnym batalionie żołnierze przygotowują rewię świąteczną. Przed przedstawieniem, na scenie zjawia się dowódca:

—A wy co będziecie robili?

—Melduję posłusznie, ja śpiewam.

—A co takiego?

—"Dwie zorze" Moniuszki!

—A jedna by nie wystarczyła? Jednogodzinny program też im wystarczy . . .

POWRÓT POLSKIEGO CZOŁGU ZNAD MOZY . . .



W dniu wigilii . . .

ŚWIĘTA W HOLANDII



—Ci Polacy dobrze się maskują!

—Gdzież tam — jadą na wigilię . . .

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE NA PRZESTRZENI LAT . . .

Rok 1938: . . . Weselszych świąt i lepszego, szczęśliwszego Nowego Roku, przesyła . . .

Rok 1940: . . . Pogodnych świąt, oby ostatnich na obczyźnie, zasyła . . .

Rok 1941: . . . Spokojnych świąt, ostatnich w Szkocji, śle . . .

Rok 1942: . . . Zwycięskich świąt w przyszłym roku życzy . . .

Rok 1943: . . . Wesołych świąt — już w domu — i jaśniejszego Nowego Roku, zasyła . . .

Rok 1944: . . . Merry Christmas i Happy New Year senduje . . .

Rok 1950: . . . Weselszych Świąt i lepszego, szczęśliwszego Nowego Roku, chociażby z okresu w Szkocji, śle . . .

POSTĘP TECHNIKI NIEMIECKIEJ



Profesor astronomii w Berlinie: Proszę zawiadomić Hitlera, że jesteśmy w wojnie z Marsem. Nasze "V2" wybuchło już na Marsie . . .

Tekst i rysunki: TONY

BŁĘKITNY FUNDUSZ

W załączeniu przesyłam na "Błękitny Fundusz Rannych Armii Krajowej" 70 sh.

Sierżant T.J.B. z Karpackiej

* * *

W załączeniu przesyłam P.O. na kwotę £1.5.0 na "Błękitny Fundusz" gwiazdkowy rannych dla rannych Armii Krajowej.

Jeden z rannych tutaj

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych załączam na "Błękitny fundusz gwiazdkowy rannych dla rannych A.K." £1.

Kazimierz Rybicki

* * *

Przesyłam £4.7.6 zebrane przez rannych żołnierzy 1 Dyw. Panc. przebywających w Wordsley Hosp., Nr. Stonebridge, z przeznaczeniem na "Błękitny fundusz dla rannych żołnierzy w Kraju". Tadeusz Ducko sh.10/-, Jan Jóźwicki £1, Stefan Zieliński £1, Paweł Tytan sh.5/-, Konst. Fassek sh.5/-, Leon Kwapisz sh.2/6, Fr. Szymański sh.10/-, Józef Cichocki sh.5/-, St. Duda Lewartowski sh.5/-, Jarosław Bilikowski sh.5/-, Razem £4.7.6.

Spodziewamy się, że akcja "Błękitnego Funduszu" spotka się z należytym uznaniem.

SPIS RZECZY:

Stanisław Szurlej: ***. — *Jerzy Faczyński:* Bóg się rodzi /rysunek/. — *Andrzej Pomian.* — Warszawska Gwiazdka. — *Antoni Bogusławski:* Opłatek. — *Maria Brzeska:* Wilia w Generalnym Gubernatorstwie. — *Marian Hemar:* Wigilia. — *Tadeusz Jerzy Bulsiewicz:* Rozmowa z Obcą Panią. — *Wacław Grubiński:* Rękopis sprzed 1846 lat. — Wiersze. *Jerzy Faczyński:* Chór pątników /z poematu "Fresk Maryjny"/. *Jan Rostworowski:* Do dzieci. — *Maria Kuncewiczowa:* Antonina opowiada o Niemcach. — *Maria Pawlikowska:* Wiersze /Piąty żywioł, Chwasty morskie. Wierzba przydrożna/. — *Bolesław Pomian:* Ocean — pustynia — dżungla. Cz. IV.: Pustynia Baluchistanu. — *Aleksander Janta:* Black-out. Szkic poematu. — *Feliks Topolski:* Polacy we Włoszech, w Palestynie, Egipcie, Afryce Wschodniej, Indiach i Burmie /osiemnaście rysunków/. — *Tadeusz Horko:* O żołnierzach Dywizji Pancernej. — II Korpus do 1-Dywizji Pancernej /życzenia świąteczne/. — *Aleksander Janta:* Mój czołg nazywał się "Poznań". — *Andrzej Stocker:* Sokolęta i Warchlaki /Reportaż o polskich okrętach podwodnych/. — *L. R. Iżycki:* Protokół podwodniaków /Słuchowisko radiowe/. — Zestawienie treści.

Na pomoc Warszawie: £1,473

A Messieurs les Redacteurs de "Polska Walcząca",

En souvenir des mes fils bien aimés, veuillez accepter la somme de £5 en faveur de Varsovie — Warszawa.

Thé·èse Holtorp

* * *

Z okazji imienin mego syna Andrzeja załączam "Money Order" nr. VN.25393 na sumę pięciu funtów z przeznaczeniem na pomoc Warszawie.

Kpt. Michał G.

* * *

W załączeniu przesyłam £6.2.6 /P.O. "crossed" nr. 3874/ na fundusz sierot Warszawy. Wyżej wymieniona kwota zebrana została z dobrowolnych składek na odczycie p. Jura w Peebles p.t. "Poland fights and lives", urządzonego przez podpisanego pod egidą Tow. Pol. Szkoc. Zebranie prowadził Mr. Colacher.

Oficer opieki Domu Ozdrowieńców W.P.

KURS OFICERÓW LOTNICTWA NA POMOC WARSZAWIE

Uczestnicy kursu oficerów oświatowych lotnictwa w Blackpool złożyli na ręce Kierownika Kursu w dzień zakończenia Kursu kwotę £4 sh.10 na Fundusz Pomocy Warszawie.

* * *

Płk. St.Sz. £3 /trzy funty/ na pomoc Warszawie.

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £19 /słownie: dziewiętnaście funtów/, które zebrano w Szkole Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej do dnia 7 grudnia 1944 na rzecz "Warszawy".

Szef Wydziału Opieki nad Żołnierzem

* * *

Leopold K., Polish Forces P/30 C., dwa funty na Fundusz Dzieci Warszawy.

Dear Sir,

Enclosed please find M.O. for £2.10.0 being the profits of a dance organised by the Willoughton W.V.S. for the Warsaw Fund.

Yours faithfully,

p.p. H. Harrison /Mrs./ J.M.

* * *

W załączeniu przesyłam P.O. na sumę £2 i proszę o przekazanie tej kwoty na pomoc dla dzieci Warszawy.

B.D.J. Kpt.

* * *

W załączeniu przesyłam £5 /pięć funtów/ zamiast życzeń świątecznych i noworocznych na pomoc dla dzieci Warszawy.

Maria i Jan Leśniakowie

* * *

Bolesław Pomian — nieprzyjęte honoraria za cykl: "Ocean — pustynia — dżungla", drukowany w "Polsce Walczącej" — w kwocie £20 /dwadzieścia funtów/ — dla dzieci Warszawy.

Na apel P.C.K.

W myśl apelu P.C.K. niżej wymienieni składają zamiast upominków i życzeń świątecznych na uprzyjemnienie życia rannym żołnierzom:

ppłk. dypl. Borkowski Zygmunt	£2.0.0
kpt. Kufa Paweł	£0.5.0
ppor. Eisler Erazm	£0.4.0
u.c. Ginter Julia	£0.5.0
u.c. Krzywiec Waleria	£0.2.0
u.c. Żbik Janina	£0.5.0
bezimiennie	£0.4.0
Razem	£3.5.0

Archiwum i Muzeum Pol. Sił Zbroj., Gask

Uprzejmie przekazuję za pośrednictwem "Polski Walczącej" Money Order na kwotę £2.15.0 /funtów dwa, szylingów piętnaście/ zebraną przez ochotniczki Pomocniczej Morskiej Służby Kobiet z Obozu Szkolnego Marynarki Wojennej w Bickleigh z przeznaczeniem na "Pomoc dla Kraju" zamiast życzeń świątecznych.

pchor. Helena W.

* * *

G. i A. Skrzyńscy z córeczką £3 /trzy funty/ do dyspozycji P.C.K. na pomoc dla Kraju zamiast życzeń świątecznych i noworocznych.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Przesyłam w załączeniu Postal Order na sh.10, które złożyła na Polish Children Rescue Fund Mrs. Ann P. Wightman, Dirlington, East Lothian.

Oficer Opieki B.R.

* * *

Mrs. Christina Simpson, 26, Green Rd., Tiendhill Duns. Berwicks, wpłaciła mjr. P. kwotę £1 /jednego funta/ z przeznaczeniem na Polish Children Rescue Fund.

Oficer opieki P/15

PACZKI OD SERCA

Zamiast życzeń świątecznych £2 na pomoc jeńcom polskim w Niemczech składa

K. Romaszkan

* * *

Przesyłam bezimiennie £1 /jeden funt/ na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

* * *

7 sh. /siedem szylingów/ — reszta pieniędzy zebranych przez żołnierzy polskich w "Patriotic School" na kwiaty dla p. Toli Korian i p. Adeli Kotowskiej z okazji koncertu — na jeńców polskich w Niemczech.

Wszystkie datki otrzymane po zamknięciu numeru wigilijnego — 15 grudnia — ogłosimy w numerze noworocznym. Przepraszamy ofiarodawców za zwłokę, która była nie do uniknięcia ze względów technicznych.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

